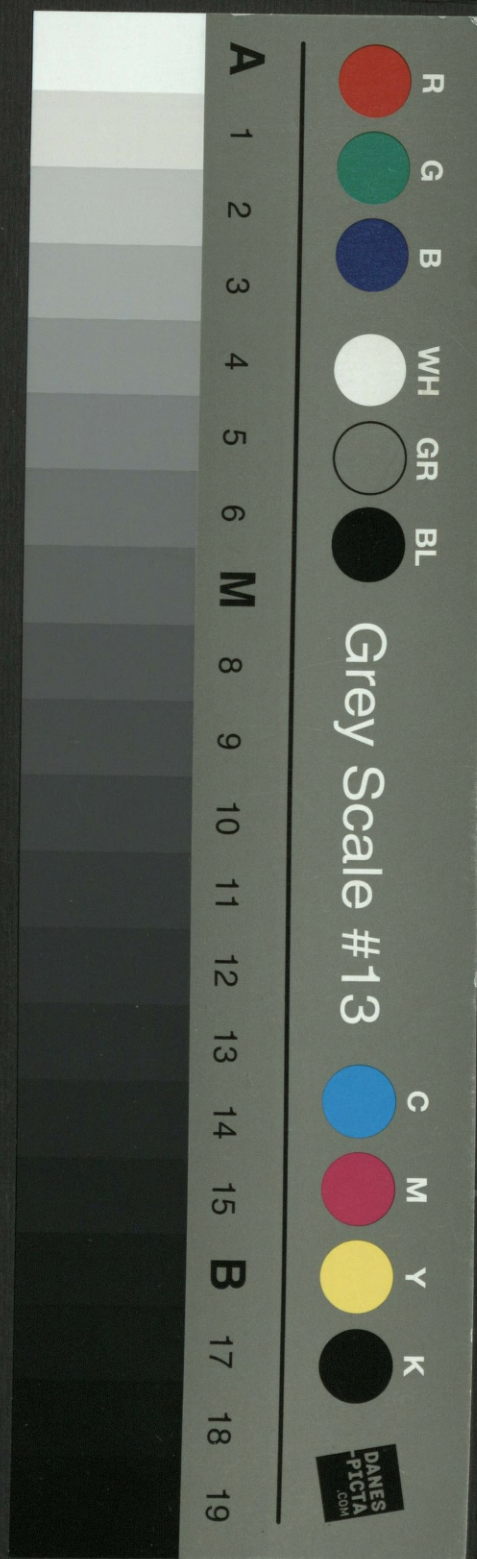
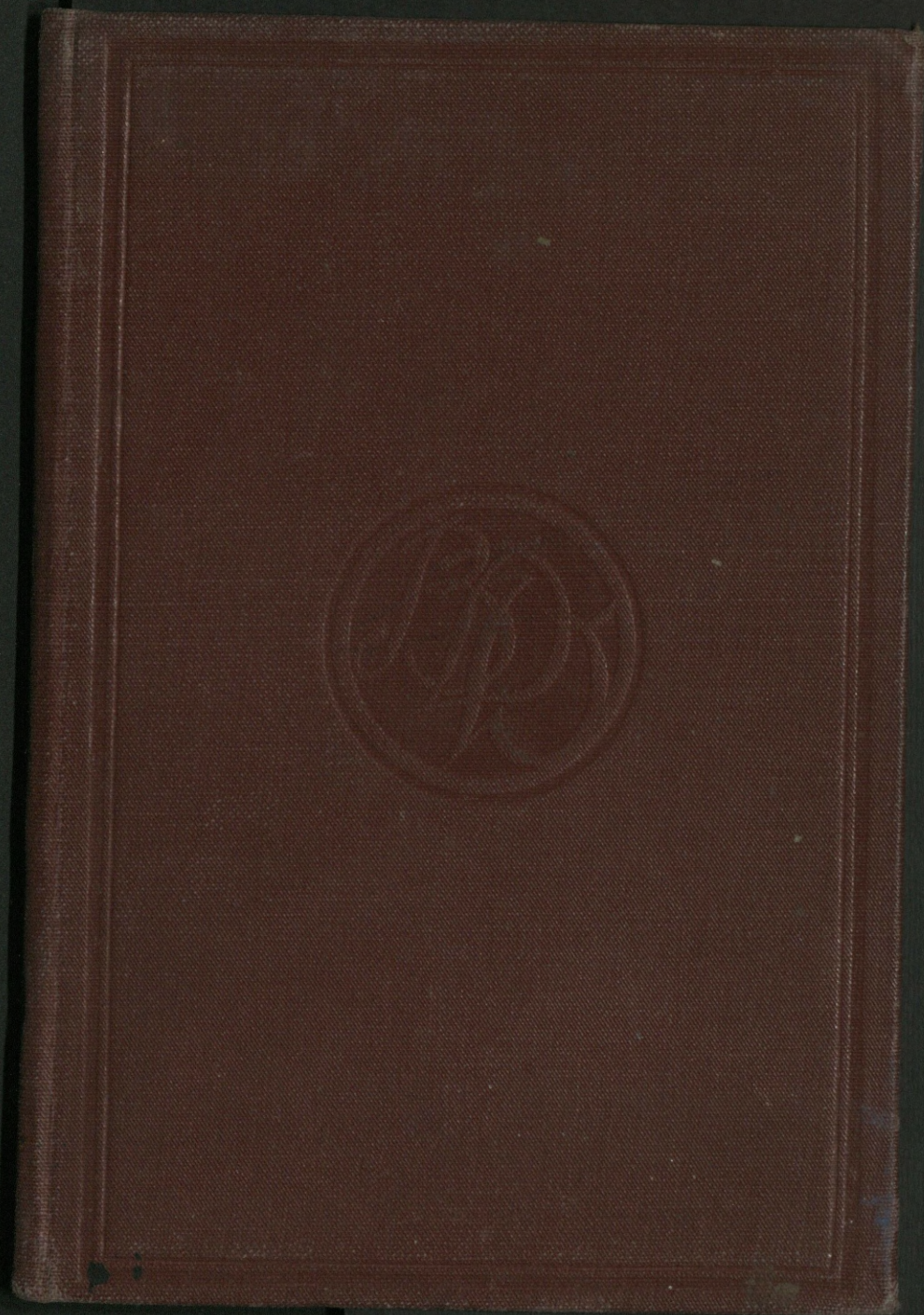






B. S. N. N. 2887

W. I. T. NOCZNICCY
№ 503 1628.

BIBLIOTEKA
DZIEŁ WYBOROWYCH

W. I T. NOCZNICCY
№ 503 1628.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor i Wydawca
Feliks Gadomski

Rok II. Tom L

(Ogólnego zbioru serja II, tom LXIII)

1925 r.

Cena tomu w prenumeracie:

w oprawie płóc. zł. 1.39

bez oprawy zł. 1.00

Cena tomu poza prenumeratą:

w oprawie płóc. zł. 2.20

bez oprawy zł. 1.80

Redakcja i Administracja
Warszawa, Sienkiewicza 12

JANUSZ MAKARCZYK

113 D

U. S. A.

OBRAZKI
Z AMERYKI POWOJENNEJ

W. i T. NOCZNICCY
№ ~~505~~ 1628.

Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych
Warszawa, Sienkiewicza 12.

886-4

TEGOŻ AUTORA:

Przez Palestynę i Syryę, szkic z podróży]
Gebethner i Wolff



10140/7

Warszawskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze, Sp. z O. O.
Warszawa, Nowy-Zjazd 1. Tel. 410-67

W. i T. NOCZNICCY
№ ~~503~~ 1628.

Przed niespełna pół rokiem p. Janusz Makarczyk zdobył czytającą publiczność wstępnym bojem dzięki swej książce p. t. „Przez Palestynę i Syryję”. Dzisiaj młody, bo zaledwie dwudziestoczteroletni autor występuje z nową książką, która mu zapewni dalsze, szerokie koła czytelników.

P. J. Makarczyk jest czystej krwi dziennikarzem, obdarzonym bezpretensjonalnym ale świeżym i barwnym talentem feljetonistycznym. Jego szkice i obrazki są zwięzłe i treściwe, tchną prawdą bezpośredniego przeżycia. Jak każdy rasowy dziennikarz, autor „U. S. A.” jest na wpół psychologiem, na wpół detektywem. W nawale przeżyć i wrażeń umie wybrać najbardziej charakterystyczne i podać je w obrazach barwnych, ostro zarysowanych, przykuwających uwagę czytelników. Sposób pisania ma p. Makarczyk prosty, treściwy, pełen bogatych „półsił” felietonicznych.

Wszystkie te cechy talentu młodego autora posiada „U. S. A.” ciekawy i wszechstronny obraz życia dzisiejszej Ameryki. „U. S. A.” nie jest dziełem traktującym o Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a raczej wyciągiem z notesu utalentowanego dziennikarza, który posiada zdolność podpatrywania ludzi i rzeczy na gorącym uczynku.

P. J. Makarczyk ur. w r. 1901, po ukończeniu prawno-ekonomicznego uniwersytetu poznańskiego odbył cały szereg podróży. W Ameryce bawił jako korespondent „Kurjera Warszawskiego” w latach 1923 i 1924.

Greenhorn

Rzecby można, że *greenhorn* jest stworzony do roli ofiary; ugina się pod ciężarem nowych warunków życia, wrogiem jego jest — nieświadomość, rolą — uczenie się Ameryki od A B C, marzeniem — jaknajszybsze pozbycie się tego, mało za oceanem pochlebnego epitetu, wywołującego po błazliwy uśmiech i upokarzającą wyrozumiałość: — *greenhorn*.

Co zacz ów *greenhorn*?

Mniej więcej to samo, co ceper w górach, debutant na deskach scenicznych, chłopię siedemnastoletnie, zakochane po raz pierwszy w kobiecie doświadczonej.

Greenhorn, to nowy przybysz, człowiek, który w Ameryce jest po raz pierwszy, który jej nie zna, którego ona oszalała. Jest niezaradny, choć niekoniecznie musi być „gapeuszem”, gdyż po paru miesiącach może stać się kutym na cztery nogi,

gdy pozna nieco stosunki i na własnej skórze doświadczy, czego i jak robić nie należy.

Słowem, jest to nowicjusz, nieumiejący pracować i radzić sobie po „amerykańsku”.

Był sobie taki Gucio, chłop jak złoto, dziś stary wyga. Przyjechał w pięknym futrze, był na paru obiadach w wytwornych domach Nowego Yorku, i wysupłał się co do centa; jak to się pięknie mówi — nie miał pewnego poranku złamanego grosika przy zgłodniałym ciele. Ambicję miał. Nie prosił o pożyczki, wiedząc zresztą, że nikt nie pożycza w tym kraju ustawicznego napięcia, gdzie każdy ma równe szanse wybicia się, gdzie między bogaczem o chłopcem czyszczącym buty, zachodzi ta jedynie różnica, że pierwszy pracuje na piąty milion, a drugi na pierwszy, gdzie króluje hasło: *equality of opportunity* — równość szans.

Powiesił więc Gucio swą elegancką garderobę na kolku, ubrał się jaknajskromniej, kupił sobie *overalls'y* 1) i poszedł do fabryki. Jego obowiązkiem było zamiatanie wielkich sal, gdzie stały maszyny.

I oto razu pewnego przechodził przez fabrykę sam dyrektor naczelny. Traf — ślepy traf zrządził, że dygnitarz zapytał o coś, mówiąc po europejsku, „zdeklasowanego” Gucia. Od słowa do słowa, wy-

1) „Overalls”, luźne, ciemno-niebieskie, płócienne ubranie, które robotnicy nakładają przy pracy na zwykły garnitur.

wiązała się pogawędka. Było to już po godzinach pracy. Dyrektor, uderzony niezwykłą inteligencją Gucia, zaprosił go do siebie na obiad.

Gucio promieniał. Teraz — myślał sobie — skończone zamiatanie, poznali się na mnie i otrzymam posadę, jak się patrzy.

Z kołka zdjął swój „smok”, długo doprowadzał do względnego porządku nieco zaniedbane ręce i poszedł do dyrektorskiego pałacyku.

Rojno tam było i miło. Gucia, choć zlekka tylko znał język angielski, jako wytwornego Europejczyka, słuchano chętnie, on, mówił nie mniej chętnie. Zachwycona dyrektorka prosiła, aby o domu ich nie zapominał. Dyrektor rewizytował go na trzeci dzień, ale... Gucio jak zamiatał fabrykę, tak zamiatał, z tą różnicą, że gdy dyrektor przechodził przez salę, uśmiechał się do niego nieco uprzejmiej, niż do innych. A gdy nie był potrzebny, bo zgłosił się na jego miejsce silny drab, mniej uczony, lecz mocniejszy w pięści, wydaloną Gucia bez wypowiedzenia — choć nadal bywał u dyrektora i cieszył się względami jego małżonki.

A on myślał początkowo...

Ot greenhorn... i tyle.

Greenhorn'a łatwo poznać na ulicy z pierwszego wejrzenia. Chodzi inaczej, stawia większe kroki, stąpa wolno z zadartą do góry głową i gapi

się na wielopiętrowe domy, potrąca szybko biegnących przechodniów i ogląda się za niewiastami, dziwi się, gdy go nagle wyrzucą z zajmowanego zajęcia, gdzie orał jak koń. Najczęściej źle mówi po angielsku, jest przesadnie ugrzeczniony, spiesząc się, nie popchnie nikogo rozmyślnie, nie wali znajomych kordjalnie w łopatkę. Przytem, dopóki nie zużyje przywiezionych ze sobą ubrań, wygląda tak jakoś... jakby był nieprzystosowany do warunków życia.

Pamiętam...

Gdy przybyłem do Nowego Yorku, ilem się wycierpiał. Moja angielszczyzna była słabiuchna, oj słabiuchna. Pytam raz na ulicy policjanta, gdzie taka a taka ulica.

— *Take elevator.*

— W jakim kierunku mam iść? — indaguję dalej.

— *Take elevator.*

Pytam drugiego policjanta — zagaduję jakiegoś przechodnia:

— *Take elevator* — znów ta sama odpowiedź.

Wreszcie jakoś „na migi” trafiłem, idąc do zamierzonego celu przez cztery godziny, by od znajomego dowiedzieć się, że *take elevator* znaczy dosłownie — „weź górną kolej”, — czyli: dziwny człowieku, toż to kilka kilometrów, będziesz siedł parę godzin w tym tłoku, siadaj do jakiejś lokomocji.

Łatwo powiedzieć siadaj — ale w który wagon? Wszak górne i podziemne pociągi biegają we

wszystkie krańce miasta. Tłok — gwałt — krzyk — gdzie jechać — w jakim kierunku? — którym pociągkiem, a przede wszystkim gdzie wysiąść?

Albo...

Wchodzę do restauracji i na własnej skórze doświadczam tego, co z taką prostotą napisał Sienkiewicz. Podają mi kartę. Patrzę na nią wybałuszonymi oczyma, wreszcie na chybił trafił pokazuję jakąś potrawę. (Kosztowna, sześćdziesiąt centów — pamiętam). Przynoszą coś zimnego, piramidka obłana sosem, żółtym sosem.

Siedziałem w towarzystwie dwóch greenhorn'ów, jeszcze mniej odemnie doświadczonych. Zaczynamy jeść. Zamierzam się na to „coś” nożem — moi towarzysze robią to samo. Nagle... trzy noże, zgrabnym ruchem wędrują równocześnie a dyskretnie na stół, chowając się wstydliwie pod brzeg talerza. — Ryba w sosie majonezowym... słodka. Jakoś dogadaliśmy się o rosół — słodkawy. Wreszcie podali kompot — słonawy.

— Trzeba się nawet do [jadła przyzwyczaić, greenhornie!

A potem, tak po paru miesiącach, zaczyna się człowiek nieco opierzać. Frycówek zapłacił sporo, na płacę piękną ani nawet spojrzeć; a ta płacę piękna... nóżki ma to ładne i buzię też, ale poza tem — istna deska.

i z tygodnia na tydzień mądrzeje pocziwy greenhorn — przyzwyczajają się, traci polor europejsko-salonowy, a zato nabiera trochę sprytu.

— Otóż wracajmy do Gucia.

Upłynęło kilka miesięcy i razem z zmiętoszoną garderobą opadają z niego przyzwyczajenia greenhorna.

Szelek już nie nosi, jeno pasek, przed paroma dniami stracił jakąś tam posadę, siedzi więc na ławce, już nie w Nowym Yorku, lecz w Chicago, koło miejskiego muzeum, na skwerze, naprzeciw ulicy Madison, i czyta ogłoszenia.

— Jakoś nic niema...

Wreszcie znalazł. Potrzebny jest... *glazier*. Co to takiego *glazier*?

Jeszcze przed paroma miesiącami rzuciłby to ogłoszenie w ką, ale dziś... oho... nie taki głupi.

Jedzie pod wskazanym adresem.

— *Are you a glazier?*

— *Yes.*

— Doświadczenie masz?

— Mam.

O doświadczenie zawsze pracodawca zapyta.

Prowadzi więc nowy szef przez korytarz Gucia, który po drodze pilnie kombinuje, co zacz ów „*glazier*”, którym został, — ale nic. Mina pewna siebie — pogwizduje nawet.

Wreszcie wchodzi na sale — Gucio dostaje ramę, szkło i kit.

— Aha... zostałem doświadczonym szklarzem...
myśli w duchu.

Tupetu nie traci. Zaczyna pracować. Po upływie pięciu godzin przychodzi nadzorca przyjrzeć się jego robocie.

Patrzy... patrzy... wreszcie powiada:

— Nie, bratku, tyś nigdy szklarzem nie był, pracowałeś pięć godzin, masz dwa dolary trzydzieści centów, a teraz nie zabieraj mi czasu.

Gucio zabrał dwa dolary i trzydzieści centów i poszedł. Zadowolony, bo znów na dwa dni miał co jeść — mocno skromnie, ale miał.

— A gdyby ten mój szef przyszedł o dwie godziny później — myśli — tobym się nauczył i byłbym szklarzem, albo to święci garnki lepia?

Gucio przestał być greenhornem

Amerykanin

Skarpetki jedwabne, spodnie wysoko podciągnięte na pasku, który z wdziękiem wątpliwym zastępuje szelki; skrawek jedwabnej koszuli widać w miejscu, gdzie spodnie nie schodzą się z kamizelką, wyciętą śmiesznie wąsko z tyłu, dla zaoszczędzenia materiału.

Kapelusz filcowy w zimie, a słomkowy latem, w ustach przeżuwa gumę, laski nie nosi — oto typowa sylwetka przeciętnego *yankee*.

Kapelusz słomkowy rzuca na pastwę płomieni — ostentacyjnie — w ognisko, które dnia 1 października płonie przed jego domem. Daje tem do poznania, że na przyszłą wiosnę (dnia 1 maja) kupi sobie nowy, rozumiejąc, że należy popierać prze myśl krajowy, a równocześnie ubierać się modnie i schludnie.

Tak samo, zużyte po kilku miesiącach ubranie, wyrzuca, brzydząc się niehygienicznem kolekcjonowaniem starzyzny, a nowe kupuje na raty, by je z kolei przenosić następny sezon.

Jest zawsze ubrany modnie.

Obuwie, którego fason przestał królować, spada w cenie do kilkudziesięciu centów, i co ciekawsze, niema na nie nabywców.

Amerykanin pracuje cały dzień. Wieczorem — o ile jest młody, tańczy, — o ile jest nieco starszy, idzie do kina. W niedzielę patrzy na *match* piłki nożnej, entuzjazmuje się i krzyczy z zachwyty lub wyjeżdża kilkadziesiąt kilometrów za miasto, na przechadzkę automobilem.

Gazety czyta codziennie, jadąc do pracy. Historję i geografję swego kraju zna dokładnie, lecz z całą prostodusznością potrafi się zapytać, czy ocean Atlantycki w zimie nie zamarza. Przytem, jeśli obrał sobie stały zawód, jest tęgim fachowcem w swoim fachu.

Zastrzegam się, że uwagi niniejsze odnoszą się do Amerykanina przeciętnego, — do przechod-

nia na ulicy. W wielomiljonowej Ameryce, elita duchowa niknie w powodzi zmechanizowanych ludzi, szablonowych i podobnych do siebie.

Pierwszą obserwacją, jaką uczyniłem po wyładowaniu w Europie, było spostrzeżenie, że tu każdy człowiek wygląda odmiennie, — jest ubrany indywidualnie. W Ameryce zaś szablon panuje wszechwładnie. Przyczynia się do tego masowa fabrykacja ubrań, krawatów, kapeluszy, a nawet toalet niewieścich.

Mydło jest w Ameryce naprawdę przedmiotem pierwszej potrzeby. Amerykanie pod względem czystości i schludności są też szablonowi wszyscy.

Szkoła amerykańska daje wychowanie przede wszystkim praktyczne.

Wyższe uczelnie zapoznają swych wychowanków tylko z tym przedmiotem, który dla wykonywania odnośnego zawodu jest niezbędny. Gdy z lekarzem lub adwokatem w Europie, można rozprawić poważnie o rzeczach, nie dotyczących jego zawodu, dzięki ogólnemu wykształceniu, mniej lub więcej gruntownemu, to w Ameryce prawnik — oczywiście prawnik przeciętny, jest tylko rzemieślnikiem swego zawodu; zna szczegółowo i „jak najpraktyczniej” prawo swego stanu (nie unji — w każdym stanie panuje bowiem inne ustawodawstwo), ale na tem kończą się jego teoretyczne wiadomości.



Amerykanim wynosi ze swej szkoły optymizm. Jest on naiwny, wesoły, nieskomplikowany i prostoduszny — cieszy się radością dziecka i ma w sobie głęboką wiarę w własne siły.

Jest przeważnie religijny. I choć w Ameryce naliczyć można tyle sekt, ile ich jest pod słońcem, ludzie w Nowym Świecie odnoszą się do wyznania nie jak do formy zewnętrznej... Acz tego na ogół nie okazują, wiarę swą noszą głęboko w sercach.

Tak, jak Europejczyk wielu motywów działania Amerykanina nie może pojąć, tak i trudno mu zrazu dopatrzyć się religijności, zwłaszcza, gdy ku swemu zdziwieniu zauważy, że sekty religijne reklamuje swe domy modlitwy przez umieszczanie na wieżach kościoła ogłoszeń świetlnych w rodzaju: *Christ died for our sins* — Chrystus umarł za nasze grzechy.

A mimo wiary, mimo tej dobroduszości i pogody ducha, wśród młodego pokolenia można zauważyć szczególnie po wojnie światowej objaw niezdrowy i zatrważający — rozluźnienie obyczajów.

Przeciwnicy szkół koedukacyjnych utrzymują, że to wina systemu, że już od dziecka szkoła, w której spotykają się płcie odmienne, wpływa ujemnie na wzajemny stosunek młodzieży: zadzierzga co prawda więzy zażyłości i koleżeństwa, stawia stosunek młodzieży naturalnie, nie mniej są to raczej cechy zewnętrzne, pewna tresura, która nie jest w możności uchronić nieletnich od niepożądanych naturalnych następstw

Nowy-York

Znalazłem się w Nowym Yorku, mając w kieszeni stanowczo mniej, niż Henryk Ford, i może dlatego właśnie zacząłem poznawać Amerykę, wchodząc w samo sedno rzeczy, a mianowicie w pracę, ciężką pracę, dzięki której ludzie w Ameryce dochodzą do dobrobytu.

Byłem więc kolejno czem kto chce. Rzucało mną od góry do dołu po drabinie hierarchji społecznej; zmywałem naczynia w restauracji na 42-iej ulicy i Broadway'u w Nowym Yorku, — potem przez dziesięć godzin dziennie, stojąc na wysokiem rusztowaniu, kręciłem drągiem we wrzącej masie, z której wyrabiano cukierki. W Detroit pracowałem w fabryce; byłem redaktorem dużego polskiego dziennika w Milwaukee, gdzie tłumaczyłem całe szpalty telegramów z pism angielskich, pisałem codziennie dwa artykuły wstępne, wycinałem stopy wiadomości z innych gazet, wreszcie czytałem korektę. W Chicago pracowałem w konsulacie polskim i byłem — o korono moich zajęć — aktorem, reżyserem, ustawiałem dekoracje, pisałem dramaty — przeróbki z wątpliwej literackiej wartości powieści dla teatru, który, gdyby zobaczył Solski czy Kamiński, pękłby niechybnie z zazdrości.

W Europie, a w szczególności w Polsce, wyrobiło się przekonanie, że wystarczy wyładować

na ziemi Washingtona, aby dolary, — te wymarzone dolary — same, czyniąc piękne dygi, w takt obłąkanie szybkiej melodji, napływały do kieszeni nowego przybysza. Nie mamy pojęcia, jak ciężko trzeba tam pracować na chleb powszedni i, choć dolarów w Ameryce nie brak, zdobyć je trudno. Nie wiemy, niestety, w Europie, jak intensywna może być praca, i jaka może być jej wydajność. Ośmiegodzinny dzień roboczy istnieje tylko w teorii; w praktyce zaś trwa od dziewięciu do dziesięciu, a nawet dwanaście godzin na dobę.

Podczas pracy robotnik, czy urzędnik, nie może przerwać swej czynności, w ścisłym tego słowa znaczeniu, na przeciąg paru minut.

Jednostka, żyjąca w Ameryce, dla utrzymania swej egzystencji musi pracować bez wytchnienia, poświęcając wszystkie siły i czas zarobkowaniu. Znalezienie zajęcia, zwłaszcza w Nowym Yorku wymaga dużych zabiegów, zważywszy, iż całe rzesze imigrantów, nie posiadając funduszy na dalszą drogę, osiedlają się w porcie. Stąd duże współzawodnictwo i duża podaż sił roboczych.

A zorientować się w Nowym Yorku nie jest łatwo; miasto przytłacza ogromem i rozmiarami, wielkie domy piętrzą się, jak góry niebotyczne, gwar milionów ludzi, setek tysięcy samochodów, tramwajów, kolei powietrznej i podziemnej — wszystko krzyczy, trąbi, huczy, gwizdże.

Rozpędzony tłum, jak szara lawa, przelewa się po ulicach w gorączkowej gonitwie za *business'em*, życie kipi i wre w całej pełni. Ogólne tempo zwalnia się dopiero pod wieczór, ulice zaś i domy zabaw nabrzmiewają w tłumy, żadne rozrywek po całodzienniej pracy i wysiłkach w kierunku zdobycia jaknajwiększej ilości pieniędzy.

Nikt na nikogo nie zwraca uwagi, człowiek jako jednostka jest jak kropla w morzu — bezimienny i nieznany.

Wygląd miasta amerykańskiego jest raczej solidny niż piękny. Charakter miast ten sam wszędzie — od Nowego Yorku aż po San Francisco — w budowie niema wyraźnego stylu, ani subtelnego artyzmu, architektura jest ciężka, granitowa, mało oryginalna, zazwyczaj bezpretensjonalna na zewnątrz. Urządzenie wewnętrzne natomiast jest tworzone z myślą o zapewnieniu jaknajwiększej sumy wygód i komfortu.

Ulice nie są zdobione, lecz szerokie i proste, bruki gładkie, wyszlizgane kołami samochodów, chodniki obszerne.

Nowy York, w dzień ponury, jakgdyby przysłonięty szarą mgłą, zalewa w nocy cały potok różnobarwnych światel; reklamy świetlne migocą i mienia się rozmaitemi lampkami, przykuwają wzrok i oszałamiają bajecznie barwną grą promieni, zdumiewają pomysłowością i precyzyjną techniką wykonania.

Jak potężny głębią moloch, wchłania w siebie Nowy York coraz to nowe rzesze imigrantów, wchłania i polskie wychodźstwo, które mimo okazałej liczby ginie i znika zupełnie.

Narodowości są tak pomieszane, iż bez przesady spotkać można przedstawicieli wszystkich nacji, wszystkich ras świata. A jednak jest jeden żywioł, który się wybija i zwraca uwagę — to żydzi.

Obliczono, że w r. 1923, dwadzieścia pięć procent dzieci, urodzonych w Nowym Yorku, powiększyło grono wyznawców Talmudu.

Na 5-tej avenue, najwytworniejszej ulicy miasta, na której mieszkają li tylko najzamożniejsi, ulicy sławnej na całym świecie, stoi piękny, duży gmach — synagoga. Stoi tam, jakgdyby przypominając, że finansjera żydowska mogła sobie pozwolić na reprezentacje w centrum kapitału — tam, gdzie złoto płynie bez żadnej tamy.

Znalezienie pracy umysłowej dla nowego przybysza w Nowym Yorku, jak zresztą w całych Stanach Zjednoczonych, bez znajomości języka angielskiego jest prawie niepodobieństwem. Pozostaje więc praca rąk.

Wykwalifikowany robotnik może niemal zawsze liczyć na zajęcie, skoro jednak nie zna żadnego rzemiosła, zostaje zepchnięty do rzędu niefachowego proletariatu, którego los nie jest lekki.

Nie w lepszym położeniu znajduje się cudzoziemska inteligencja. Ludzie z uniwersyteckiem wykształceniem, legitymujący się europejskimi dyplomami, budzą tylko pobłażliwy uśmiech i najczęściej zaczynają swą karierę zarobkową od zmywania naczyń w restauracji, należy to bowiem do kategorii zajęć, nie wymagających zbytniego zasobu sił fizycznych.

Na podkreślenie zasługuje jeden z charakterystycznych obyczajów amerykańskich: żadna praca nie przynosi ujmy człowiekowi. Czyścibut lub *liftboy*, o ile otrzymane przezeń wychowanie i wykształcenie daje mu do tego prawo, wkłada wieczorem smoking i jest przyjmowany na równi z *gentlemenami*, zajmującymi pierwsze stanowiska w kraju.

Mimo trudności, jaką stwarza życie Nowego Świata, istnieje pewna grupa cudzoziemców, którzy nie tylko zdobyli łatwą egzystencję, lecz i sławę i popularność.

Do tych szczęśliwców należą wielcy artyści — pod warunkiem, że sława poprzedziła ich i że popularność osiągnęli już w Europie.

Stany Zjednoczone

Przeszło siedem tysięcy mil morskich dzieli nas od ogromnego obszaru ziemi, leżącego na całej szerokości lądu, między Atlantykiem a Pacyfi-

kiem,—zajmującego przestrzeń około 7.834.130 km. kw. między Kanadą na Północy, a Meksykiem na Południu — jak nas uczono w szkole — od Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Na tem to terytorjum żyje obok siebie blisko sto dziesięć milionów ludzi, objętych wspólną nazwą Amerykanów, którzy bezwzględnie mają wiele cech sobie wspólnych, lecz jako naród młody, powstały w warunkach specjalnych, nie zapominają najczęściej pochodzenia i swego pnia narodowego. Zdarza się niezmiernie rzadko, by zapytany Amerykanin — jakiej narodowości byli przodkowie pańscy — odpowiedział:

— Nie wiem; — odkąd pamiętam ja, i odkąd pamiętał mój ojciec, wszyscy przodkowie moi to Amerykanie z krwi i kości — jestem Amerykaninem stuprocentowym, — kończy zazwyczaj.

Przeważnie wszyscy ci „stuprocentowcy” — gotowiby przysiąc z dobrą wiarą, że ich przodkowie przybyli na nowy ląd historycznym okrętem *Mayflower*, który w roku 1621 przywiózł z Anglii pierwszych emigrantów — purytanów.

Niemniej jednak słyszy się:

— Pochodzę z Niemców, Szwedów—lub z dumą w głosie: rodzina moja przybyła z Anglii.

Pretendujących do rodowodów z mglistego Albionu jest najwięcej.

Polak amerykański odpowie w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto:

— Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych, narodowości polskiej.

Zlepek narodów tworzy więc społeczeństwo amerykańskie; nie wiąże ich ani świadomość pochodzenia narodowego, ani tembardziej wspólna religja, gdyż religji państwowej niema; oficjalnym językiem urzędowym jest angielski, czy też, jak stwierdziła konstytucja stanu Illinois, „język amerykański”, lecz bardzo wielu używa w domu rodzinnym języka „starego kraju”. Mowy ojczystej najłatwiej zapominają Niemcy — najtrudniej Polacy. Znałem polskiego robotnika, którego rodzina od czterech pokoleń zamieszkała w Ameryce, włada dość poprawnie językiem polskim.

Polacy, żyjąc w większych skupieniach, tworzą w amerykańskich miastach własne osiedla. Jeszcze nie tak dawno, jak w Chicago, na Milwaukee avenue, figurowały na witrynach sklepowych napisy: *english spoken* — tu mówią po angielsku, gdyż w większości sklepów jeno po polsku porozumieć się było można.

Dziś te czasy minęły bezpowrotnie—imigranci asymilują się coraz silniej.

Wypada sobie zadać pytanie, dlaczego ludzie, mieszkający w Stanach Zjednoczonych, których uważamy za jednolity naród, zdobyli tak duże znaczenie?

Dlaczego Ameryka Północna do niedawna, jedna z wielu kolonji angielskich — doszła do tak olbrzymiego znaczenia, i do takiej potęgi, że mocarstwa europejskie liczą się ze Stanami Zjednoczonymi, jako z czynnikiem, w niektórych zagadnieniach politycznych i ekonomicznych, decydującym?

Patryjotyzm i zarodki nacjonalizmu amerykańskiego istnieją, przeradzając się częstokroć w szowinizm, nie można jednak tego nacjonalizmu porównać z ruchem nacjonalistycznym polskim i patryjotyzmem polskim, francuskim czy włoskim. Jest on zupełnie specyficznie amerykański. Zasada się stosunkowo mniej na umiłowaniu tradycji kraju, a tem mniej wspólnocie pochodzenia, lecz przede wszystkim na poczuciu tożsamości interesów, w szlachetnem tego słowa znaczeniu, i na solidarności państwowej.

I w tem tkwi różnica zasadnicza.

Czynnikiem, który sprawił, że ludność Ameryki jest zamożna, który ugruntował mocarstwową potęgę Stanów Zjednoczonych, to praca jej obywateli, i jeszcze jedno: — moralne poczucie konieczności solidnej, wyteżonej pracy i sumiennosc w robocie.

Są to cechy, które, gdy się je połączy z oszczędnością, potrafią doprowadzić do takich rezultatów, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych. Są to cechy, które wydzwignęły przemysł, sprawiły, że piętnaście procent ludności posiada własny sa-

mochód, że robotnik ma własny dom, złożony z paru ładnie urządzonych pokoi, że córki jego uczą się grać na fortepianie i ubierają się stosownie do nakazów mody.

Dzięki umiejętnej organizacji pracy, dzięki oszczędności, dobrobyt społeczny wzrasta stale, a co zatem idzie, wzrasta potęga ekonomiczna państwa.

A wiadomo, że za potęgą ekonomiczną krok w krok postępuje znaczenie polityczne.

Praca, business i reklama.

Każdy Amerykanin dąży do zdobycia majątku — poza pewnym odsetkiem wydrwigroszy, których nigdy i nigdzie nie brakuje, — uczciwie, ciężką pracą.

Jak wygląda dzień pracy?

Domy mieszkalne leżą zazwyczaj daleko od centrum. Miasto amerykańskie rozpada się na dzielnice handlową i rezydencyjną — *down town* i *up town*. Czem dalej od centrum, tem mieszkania stają się droższe; wille ludzi bardzo zamożnych mieszczą się wogóle poza miastem.

Down town — dolną część miasta — zajmują banki, biura, teatry, sklepy, dancingi etc.

Odległości mieszkań od biur są bardzo znaczne. W Nowym Yorku jeździłem z domu do pracy

godzinę i czterdzieści minut ekspresem podziemnym. W tych warunkach trzeba wstawać wcześnie, gdyż za najmniejsze opóźnienie się pracownik traci zajęcie. Niema też mowy o powrocie do domu na posiłek południowy. *Lunch* jada się na mieście, w t. zw. *Lunch-room'ach* lub *Cafeteria'ch*. W tych ostatnich niema usługi; każdy wybiera sobie sam potrawy z bufetu i płaci przy kasie. Ludzie za-
możni jadają drugie śniadania w specjalnych restauracjach.

W Chicago restauracją taką jest, między innymi, Morisson, otwarty tylko w ciągu dwóch godzin na dobę — od dwunastej do drugiej w południe. Muzyka przygrywa do tańca, a na scenie odbywa się przedstawienie kabaretowe. Dyrektor jakiegoś banku zachodzi ze swą sekretarką — posila się, tańczy shimmy i po trzech kwadransach wraca do biura.

Pracownicy wracają do domu dopiero po całodziennem zajęciu. Robotnicy przebierają się w czyste garnitury, niczem nie różniące się od garnituru przeciętnego *gentlemana*, spożywają obiad i odpoczywają.

Praca nie jest stała. Nie korzysta ona w tym zakresie z opieki ustawodawstwa, jak to jest w Polsce. Mimo to robotnik jest lepiej wynagradzany i korzysta z dobrodziejstw dostatniego życia.

Dlaczego?

Czyż nie utrudnia się życia przemysłowego i jego rozwoju — owszem, przemysł jest otaczany jaknajdalej idącą opieką, Niema Ministerstwa Pra-

cy, któreby jak to się dzieje w Polsce — groziło więzieniem fabrykantowi za to, że zrobił jakąś propozycję robotnikom, na którą ci ostatni wyrazili swą formalną zgodą.

Niepotrzebnego robotnika wolno usunąć — tak zresztą, jak i każdego pracownika, bez uprzedniego wypowiedzenia — poprostu z godziny na godzinę, wypłacając za przepracowany czas. Każdy rozumie, że skoro dla jakiejś przyczyny stał się zbędny przedsiębiorstwu — trudno mu domagać się synekury, rozumie, że tylko wtedy będzie mógł liczyć na lepszą płacę i stałą posadę, o ile będzie dobrze pracował i o ile zwierzchnik będzie zeń zadowolony. Dlatego też pracuje sumiennie i starannie.

Ośmiogodzinny dzień pracy, przyjęty w teorii, nie obowiązuje nigdzie — trwa dziewięć, a nawet dziesięć godzin na dobę — oczywiście za osobnem wynagrodzeniem, które idzie w parze z pracą.

Dziś cały świat przemysłowy zaczyna rozpatrywać metody, dzięki którym przemysł Stanów Zjednoczonych doszedł do wprost imponujących rezultatów, dzięki którym praca tworzy cuda techniki, w przeciągu daleko szybszego czasu niż w Europie.

Poza poczesną rolę, jaką grają maszyny nowoczesne i ciągle ulepszania środków produkcji, nie mniej jednak, czynnikiem twórczym jest praca, która wydzwiga dobrobyt ¹⁾).

1) Dobrobyt w znaczeniu ekonomji — równowaga pomiędzy potrzebami a dochodami, w której wszystkie uzasadnione potrzeby gospodarza trwałe mogą znaleźć zaspokojenie. (Polityka ekonomiczna, Włodzimierz Czerkawski w opracowaniu prof. E. Taylora).

Stanowisko pracy jako takiej w produkcji jest wielkie. Ameryka jest daleka od hołdowania koncepcji Marxowskiej, zdaje sobie sprawę, że tylko połączenie wszystkich czynników produkcji tworzy dobro materialne, jednostki i, jak nie można lekceważyć roli kapitału lub przyrody, tak samo nie wolno zapominać znaczenia pracy, bowiem od jej intensywności zależy w pierwszym rzędzie, przy dostatecznej liczbie kapitału, zdolność wytwórcza narodu.

Siła nie leży w specjalnie zdolnym robotniku, lecz w umiejętnym, metodycznie kształconym kierownictwie, i w rozumnej organizacji pracy.

W Ameryce prawda ta znalazła oddźwięk w praktyce.

Robotnik amerykański nie zastanawia się tyle nad podziałem dóbr, nie interesuje go polemika ekonomistów, trwająca przeszło od wieku; mniejsza z tem, czy podział odbywa się wedle sławnego obrazu ekonomicznego fizjokratów, czy też wedle koncepcji Smith'a lub Ricard'a, robotnik amerykański chce przede wszystkim pracować, daleki od zawiści klasowej, wiedząc, że aby móc prawić o podziale, należy wprzód mówić o produkcji.

Przeciętny robotnik, (oczywiście nie stosując tego do nowych przybyszów, od niedawna na terytorjum Ameryki osiadłych) najczęściej właściciel samochodu i domku, należąc do klasy posiadaczy, zachowuje się odpornie wobec agitacji socjalistycznej czy komunistycznej. Polityka społeczna idzie

w kierunku zapewnienia klasie robotniczej tanich domów na rozpląty — w przewidywaniu, że własność prywatna gwarantuje najpewniej istnienie porządku społecznego.

Praca, która nie korzysta z tak szumnie zwanych „zdobyczy socjalnych”, nie krępowana przez ustawodawstwo, musi siłą faktu być coraz to bardziej wydajna. W Stanach Zjednoczonych stosuje się tak zwany *effishing* pracy, to znaczy, badania nad możliwą szybkością i jakością wykonania. Rozpatruje się wprawdzie metody, jakimi robotnik winien wykonywać pewną, określoną czynność, by móc pracować szybko i sprawnie. W tym celu istnieją we wszystkich większych warsztatach pracy specjalne instytuty, których zadaniem — przeprowadzanie ścisłych studjów nad najbardziej uproszczonym, i najmniej czasu zabierającym wykonywaniem poszczególnych czynności. W fabrykach, specjaliści urzędnicy — z chronometrem w ręku — badają, ile sekund zużywa pracownik na wykonanie pewnego ruchu — obliczają, czy nie dałoby się uniknąć niepotrzebnej straty czasu za pomocą uproszczenia danej funkcji.

To doprowadza do zmechanizowania pracy.

Od szybkości i sprawności pracy, której minimum jest określone, zależy wynagrodzenie. Za wybijającą się ponad przyjętą normę szybkość robotnik otrzymuje osobne wynagrodzenie. System ten, zbliżony do pracy akordowej — w poszczególnych produkcjach bardzo rozpowszechnionej —

ma tę nad nim przewagę, że określając za minimum pracy minimum stałego zarobku, pozwala na sprawiedliwe ocenianie wysiłków i zdolności jednostki.

System tego rodzaju zastosował Ford 1), gdzie każdy robotnik z osobna wykonywa stale tę samą, drobną czynność, składającą się na całość. Jednostka, która przez cały dzień roboczy, a potem lata dokręca śrubkę, lub też uderza pewną, z góry obliczoną ilość razy, młotkiem w gwóźdź, dochodzi do zawrotnej wprawy; aczkolwiek czynność ta jest kroplą w morzu przy zmontowaniu samochodu, cała produkcja na tem zyskuje.

Ma to tę słabą stronę, na którą powołują się przeciwnicy *effishingu*, — że mechanizuje człowieka i jakoby zabija jego zdolności, inteligencję i indywidualizm. Ataki te polegają na niezrozumieniu istoty *effishingu* w ogólności, a systemu Forda w szczególności.

Ford, przyjmując robotnika stałego, baczy na jego higienę, mieszkanie, które musi być obszerne, czyste — zmusza robotnika, by po pracy zawodowej chodził do wieczornej szkoły technicznej, gdzie — o ile okaże zdolności — jest kształcony kosztem fabryki, tak, że niemal wszyscy dzisiejsi inżynierowie i handlowcy Forda rekrutują się z dawnych jego robotników.

Szkola i odpowiednie wpływanie na tryb życia poza fabryką odbija się dodatnio na robotniku

1) Fabryki automobilów i traktorów (Fordson) H. Forda znajdują się w Detroit, stan Michigan.

i sprowadza do minimum zło, wyrządzone zmechanizowaniem pracy. Pisze o tem Henryk Ford 1) w książce „Moje życie i dzieło”. 2)

Drugim czynnikiem twórczym jest handel; handlowiec amerykański kieruje się zasadami uczciwości — nie zawsze coprawda dla zaspokojenia wrodzonej potrzeby — lecz poprostu z konieczności i dla interesu. Zdaje sobie sprawę z tego, że lepiej jest raczej stracić na pewnej tranzakcji, niż zasłużyć sobie na miano niesolidnego, z taką bowiem reputacją nigdy i nic zdziałać już nie może.

Uczciwość w dotrzymaniu umowy i punktualność — oto drógowskazy, za którymi kroczy poważny handlowiec amerykański.

Dużo możnaby — a nawet bardzo dużo — zwłaszcza u nas, należałoby powiedzieć, o uprzejmości amerykańskiego kupca. Rozumie, że powinien *obsłużyć* swojego klienta, podbić go uprzejmością. Stąd hasła i dewizy sklepowe: *obsługujemy naszą klientelę z uśmiechem na twarzy*.

1) U Forda pracuje najwięcej Polaków, z których genialny przemysłowiec jest bardzo zadowolony. Świadczy to, że robotnik polski, nie bałamucony i znajdujący się pod odpowiedniem kierownictwem, jest materiałem pierwszorzędnym.

2) Poza tą książką, tłumaczoną na język polski, i tygodnikiem, który wychodzi periodycznie, Ford wydał „*Mane Tekel Upharsin*” i „*International Jews*” obie poświęcone kwestji żydowskiej. Ford jest zdecydowanym wrogiem żydów.

Uśmiech, pogodne oblicze — oto towarzysze pracy. Na wejściowych drzwiach poważnych instytucyj widnieją często napisy — *keep smiling* — uśmiechnij się.

Uśmiech przeradza się [w specyficznie amerykański] optymizm — daleki od chorobliwego marzycielstwa, gdyż jest nawskróś zdrowy — realny.

Optymizm, tężyzna duchowa i wiara, — nie w ślepy traf — „jakoś to będzie”, lecz wiara w siły, odrzuca *eo ipso* narzekania, żalenie się. Nierzadko spotyka się początkującego człowieka interesu, który ledwie parę centów ma przy sobie, niebardzo wie, czy będzie jutro jadł obiad, lecz na zapytanie, jak interesy, odpowie zawsze pogodnie:

— Idzie mi doskonale.

I nie jest to poza. Wierzy, że wszystko idzie ku dobremu, że chwilowe — w początkach kariery nieuniknione — trudności przeminą, a skoro w to niezłomnie wierzy, czyż warto człowiekowi, który uprzejmie zagadnął o interesy, zabierać czas, skarżąc się, co przystoi dziecku, nigdy zaś dorosłemu mężczyźnie? Poco mówić, kiedy i tak jest się zdającym tylko na swoje własne siły, i jeśli sam nie pomoże sobie, to już nikt inny nie pomoże z całą pewnością...

Czynnikiem, który ożywia handel i który stał się w Ameryce nieodzowny dla każdego interesu — jest reklama.

Kupiec amerykański w reklamie nie blaguje, ani też nie umieszcza rzeczy nieprawdziwych, lecz przez umiejętne redagowanie anonsów dociera do wszystkich.

Statystycznie sprawdzono, że przeciętna nowa firma jedną trzecią kapitału zakładowego zużywa na instalacje i puszczanie w ruch interesu, a dwie trzecie na reklamę.

Przez reklamę nie należy rozumieć tylko ogłaszania się w pismach. Istnieje cały szereg sposobów, metody, nauka ogłaszania.

Zresztą któż się nie reklamuje?

Podczas kampanji wyborczej z roku 1924, kiedy miano głosować na konwencję wyborczą demokratów, kandydat na to stanowisko, Mac Adoo wydał ilustrowaną broszurkę, w której zapewniał wyborców o swych kwalifikacjach do sterowania nawą państwową. Między innemi był tam obrazek, przedstawiający ton morską i borykającą się z żywiołem łódź. Na każdej fali znajdował się napis: „korupcja urzędników”, „wysokie podatki”, „skandal naftowy” 1). Łódź przedstawiała Stany Zjednoczone, któ-

1) W 1924 roku niebywały skandal wyszedł na jaw i stał się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Chodziło o Tea Pot Dome, bogate tereny naftowe, dotychczas nieeksploatowane. Uchwała Kongresu gwarantowała Tea Pot Dome dla marynarki Stanów Zjednoczonych, gdyż, jak to przewidywał propagator tej idei Dewey, statki z opału węglowego przeszły na ropę. Za życia prezydenta Harding'a, Towarzystwo Naftowe Sinclair'a, w którym tej wodził milioner Dohenny, otrzymało te pola w dzierżawę, mimo uprzedniej uchwały Kongresu, drogą niezupełnie legalną. W aferę byli zamieszani ministrowie, a nabrała rozgłosu, gdyż demokraci skorzystali z niej w czasie kampanji wyborczej, aby tą drogą zdyskredytować republikan. Wówczas to

rym na ratunek płynie poprzez fale... w kąpielowym kostjumie kandydat na prezydenta Mac Adoo, człowiek o wybitnych zdolnościach, w którego rękę podczas wojny spoczywał zarząd przejętych przez państwo kolei, niepośledni prawnik i inżynier, budowniczy monumentalnego i pięknego gmachu — Pennsylvania station — w Nowym Yorku, Mac Adoo, zięć zmarłego prezydenta Woodrowa Wilsona.

Jest wieczór... w Nowym Yorku na Broadway'u, tam gdzie krzyżuje się 42-ga ulica i 7-ma avenue, widać kłębie się tysiący przechodniów, z niedalekiej szóstej avenue dolatuje głuchy łoskot powietrznej kolei, pod nami pędzą z zawrotną szybkością pociągi w podziemiach drugiego miasta 1), wokół łuny świetlne reklam, setki setek, ba — miliony nawet barwnych lampek, układających się w rozmaite gustowne desenie i obrazki.

przeciwnicy partji republikańskiej wołali przy każdej sposobności: „Każdy republikanin pachnie naftą”. Z przyczyny Tea Pot Dome doszło do konfliktu pomiędzy Senatem a prezydentem, który początkowo nie chciał udzielić dymisji sekretarzowi Marynarki Denby'emu. Prezydent opierał się na konstytucji, która jego decyzji pozostawia dobór członków gabinetu. Gdy jednakowoż skandal stał się zbyt jawny, prezydent Coolidge musiał przychylić się do prośby Denby'ego o dymisję — poczem jeszcze dwóch ministrów zostało usuniętych. sądzono powszechnie, że incydent ten, w związku z innemi skandalami, jakie w czasie kampanji wyborczej wykryli demokraci, wpłynie ujemnie na ponowny wybór Coolidge'a. Dziś wiemy, że w roku 1924 republikanie mimo to zwyciężyli.

1) W podziemiach Nowego Yorku znajdują się biura, sklepy, restauracje etc.

I oto przed nami:

Na wysokości dziesiątego piętra, obejmując całą szerokość olbrzymiego domu, pędzi co tchu na złotych saneczkach gruby malec, odziany w futra. Wielkim batem pogania zapamiętałe psy eskimoskie — wokół gęsty śnieg i lód — a mały grubasek bieży ile sił starczy do bieguna, na którym stoi... butelka lemoniady — *Ginger ale*. Lampki gasną i zapalają się, dając iluzję istotnego ruchu.

Tam znów — nawprost strzelistego gmachu Timesa przewraca się w górze świetlana filizanka, z której kroplami spływa kawa, i co chwila ukazują się wielkie litery: *Macwell coffe good to the last drop*.

Ten sam napis spotyka się co parę dni w dziennikach, w wagonach kolei, na placach i ulicach, w kinach i na ekranie w [Detroit, w tramwaju w Chicago i Nowym Yorku, w restauracji w Milwaukee, w San Francisco, Washingtonie i najlichszej mieścinie prowincjonalnej, zewsząd wygląda ku mieszkańcom napis głoszący, że: „kawa firmy Macwell jest smakowita do ostatniej kropli”.

Asekuracja

Instytucja asekuracji, której ojczyzną jest Anglja, powstała już w XVII wieku, jako ubezpieczenie od pożarów. W następnem stuleciu tworzą się

pierwsze towarzystwa ubezpieczeń na wypadek śmierci, i w tym też czasie asekuracja przeciw pożarom przenosi się z Anglii na kontynent. Ubezpieczenia na życie spotykamy dopiero w dziewiętnastym wieku.

Od tej chwili ubezpieczenia szerzą się szybko, obejmując w krąg swych zainteresowań coraz to nowe dziedziny życia.

W Stanach Zjednoczonych system ubezpieczeń jest rozpowszechniony i rozwinięty na szeroką skalę. Niesposób wprost wyliczyć wszystkich rodzajów ubezpieczeń, aby je dokładnie omówić, trzeba by napisać specjalny traktat.

Zanim przypatrzymy się asekuracji amerykańskiej i jej pomysłowości, należy przypomnieć, że spór o to, czy asekuracją mają się zajmować instytucje prywatne, czy też prawno-publiczne, spór tak popularny w Europie, nie istnieje w Ameryce zupełnie.

Liberalizm amerykański nie znosi mieszania się państwa do business'u, z przedsiębiorstw we władaniu państwowym jest li tylko poczta, nawet telegraf znajduje się w rękach prywatnych, dlatego więc mianoby czynić wyjątek dla asekuracji.

Uczni europejscy wytaczają cały szereg argumentów na obronę ingerencji państwa, w niektórych rodzajach asekuracji, szczególnie przy ubezpieczeniu robotniczem, lecz Amerykanin odpowie na to tak, jak odpowiedział mi jeden z dyplomatów amerykańskich, były poseł w Rumunji, a Czech

z pochodzenia, Vopieka, gdym go zapytał czemu państwo nie ukróci wysokich taryf przewozowych i nie wykupi kolei.

— Jakto, — zdziwił się, — miałooby państwo czynić konkurencję własnym obywatelom?

Ekonomiści europejscy, przy omawianiu spraw ubezpieczeniowych i spraw robotniczych, w większości swej utrzymują, że ingerencja państwa, lub innych ciał o charakterze prawnopublicznym jest konieczna, przyznając, że choć gospodarka prywatna jest tańsza, przymusowe ubezpieczenie jest nieodzowne, i wpływ państwa w tej dziedzinie musi być znaczny.

Przeciwnie w Ameryce.

Państwo, poza minimalną kontrolą, zmierzającą do niedopuszczania nadużyć, pozostawia swobodę obywatelom, i nie wywiera wpływu na rozwój towarzystw asekuracyjnych, które w lwiej większości są przedsiębiorstwami prywatnymi.

I może dlatego właśnie, że istnieje i na tem polu konkurencja, asekuracja stoi tak bardzo wysoko.

W niniejszych obrazkach, nie mogę i nie chcę pisać o asekuracji, z punktu widzenia polityki ekonomicznej, taksamo jak pisząc o zbawczej roli konkurencji, nie będę twierdzenia swego udowadniał, gdyż na ten temat napisano w ciągu ubiegłego stulecia, może nawet cokolwiek zbyt wiele. Konkurencja i wolność gospodarcza znalazła tak utalentowanych szermierzy jak Bastiat, Say i ojciec ekonomji Adam Smith, przeciw którym namiętnie

wystąpili znów Saint-Simoniści, Fourier, z szeregiem zrzeszeniowców, Proudhon i tylu innych.

Zaznaczając, że nie wdaję się w dysputy ekonomiczne, chciałbym stwierdzić jeno to, co chyba nie ulega wątpliwości, że cokolwiekby napisano o konkurencji i jej wpływie na całokształt stosunków gospodarskich, pewnem jest, że ożywia ona działalność ludzką, zmuszając ją do pracy pomysłowej i intensywnej, że dzięki konkurencji, która ma i słabe strony, działalność ludzka musi iść naprzód aby się nie dać wyprzedzić.

Pisząc o asekuracji w Stanach Zjednoczonych nasuwają się pewne porównania do stosunków polskich, porównania, które wykazują wyższość systemów zaprowadzonych po tamtej stronie oceanu, a opartych na konkurencji.

U nas instytucje państwowe, Kasy Chorych są oparte na przymusie, w Ameryce instytucje wolne oparte są na wzajemnej konkurencji.

W Ameryce kasy te zmuszane są udoskonalać się, gdyż niema powodu, dla którego ktoś ma ubezpieczyć się w gorszej kasie X, niż w lepszej kasie Y. W Polsce przeciwnie, [wskutek monopolu faktycznego i prawnego, Kasa Chorych jako instytucja państwowa nie potrzebuje troszczyć się o swe dochody, które ściąga w drodze przymusowej od obywateli. Gdyby obok Kasy Chorych, wolno było fabrykantowi założyć fabryczny szpital, lub gronu finansistów prywatną kasę chorych, opartą na składkach ubezpieczeniowych, wtedy i państwowa kasa

chorych, musiałyby zastosować się do cen prywatnych i więcej dbać o chorych, jak o wygodę swych funkcjonariuszów.

Byłby to oczywisty skutek wolnej konkurencji, gdy dziś doktor medycyny musi ubezpieczyć swą służbę w kasie chorych, chociażby miał swój własny szpital i zobowiązał się do leczenia swego personelu.

Takiego paradoksu nie może być przy systemie amerykańskim.

Czego w Ameryce przy szczycie dobrej woli nie można ubezpieczyć?

Na to pytanie możnaby stanowczo odpowiedzieć łatwiej, niż, gdyby kazano odpowiedzieć — co można ubezpieczyć?

Jeden z moich znajomych w Chicago, człowiek niezwykle przezorny, który pracą swą doszedł do niewielkiej fortuny, ubezpieczył się od wszelkich możliwych wypadków, o ile pamiętam 1) na wypadek śmierci, 2) od niepogody, 3) od wypadku, 4) na wypadek choroby, 5) na wypadek niepunktualności w odbiorze pieniędzy, 6) na wypadek kalectwa i tak dalej. Mówił mi, że przy odpowiednim sposobie asekurowania się na drobne sumy można wypłatami odbić ubezpieczenia poważniejsze i być zaasekurowanym, płacąc bardzo niewiele.

Naprzykład ubezpieczenie na wypadek niepogody, telefonuje się do agenta, który natychmiast

się zjawia i płacąc małą sumkę ma się pewność, że o ile w niedzielę będzie padał deszcz, koszt urządnego dla przyjaciół śniadania w podmiejskim lasku zostaną zwrócone.

W tym wypadku opłata jest bardzo nieznaczna.

Na stacjach urzędują biura asekuracyjne, które za opłatą pięćdziesięciu centów, gwarantują znaczne sumy w razie rozbicia pociągu.

W roku 1924 pismo Herald and Examiner wychodzące w Chicago obwieściło, że każdemu opłacającemu prenumeratę za pół roku z góry, poza otrzymywaniem pisma daje premję ubezpieczeniową od nieszczęśliwych wypadków na drobne sumy, a przy wypadku, powodującym nieudolność do pracy pięć tysięcy dolarów.

Asekuracja w Stanach Zjednoczonych rozwija się coraz bardziej. Dzięki prywatnym towarzystwom asekuracyjnym, ubezpieczenia stoją na bardzo wysokim poziomie, nie obciążając podatnika, jeno bezpośrednio osoby zainteresowane.

Federacja pracy

Pewnego rodzaju asekuracją możnaby nazwać federację pracy w Stanach Zjednoczonych. Robotnicy, będący jej członkami przez wpłatę składek, otrzymują na wypadek choroby lub bezrobocia wsparcia.

Mówić o federacji pracy znaczy to samo, co mówić o Samuelu Gompersie.

Gompers 1) był osobistością, odgrywającą niepoślednią rolę w Stanach Zjednoczonych, choćby z tego względu, że stał na czele organizacji, liczącej w swych szeregach przeszło trzy miliony robotników.

Federacja pracy w Stanach Zjednoczonych tem różni się od europejskich stowarzyszeń robotniczych, że nie zajmuje się zupełnie polityką. Niema nic wspólnego z angielskimi Trade Unionami, niema nic wspólnego z międzynarodówkami, jest to stowarzyszenie ludzi pracy rąk, które baczy na uposażenie swych członków, jest regulatorem w wypowiedzianiu strejków, łagodzi i pośredniczy, dalekie od burzenia i demagogicznych hasel.

Ponieważ organizacja została założona przez Gompersa, przyjrzyjmy się jego życiu, a tem samem zapoznamy się z celami federacji.

Gompers urodził się w roku 1850 w Londynie. Do Stanów Zjednoczonych przybył jako trzynastoletni chłopiec. W roku 1881 zorganizował federację pracy, jako stowarzyszenie unji robotniczej i z wyjątkiem jednego roku, aż do dnia swej śmierci pisał w niej najwyższe stanowisko.

Życie i praca Gompersa dawały wymowne świadectwo poświęceń dla umiłowanej przezeń idei — polepszenia bytu robotnika, oświecenia go i uspołecznienia.

1) Samuel Gompers zmarł w grudniu roku 1924 w San Antonio, stan Texas. Przyczyną śmierci była wada serca.

Pod kierownictwem Gompers'a, rozumiała Federacja Pracy, że szumne a puste frazesy walki z kapitałem, są mydłanemi bańkami. Gompers był do końca swego życia zdecydowanym wrogiem radykalizmu i tym duchem jest prześląknięte całe stowarzyszenie, zdając sobie sprawę, iż tylko zgodne i solidarne współdziałanie kapitału i pracy może wytworzyć, że walka o polepszenie warunków bytu robotnika nie oznacza bynajmniej zagadnienia ustrojowego, że chodzi przede wszystkim o wytworzenie i wypracowanie takiej sytuacji ekonomicznej, której ogólny dobrobyt stałby się udziałem wszystkich, bez wyjątku obywateli.

Warunkami, w jakich obecnie znajdują się robotnicy amerykańscy i metodami, jakimi do tego stanu dochodzono, dowiodła Federacja Pracy, że nienawiść klasowa jest rzeczą z gruntu szkodliwą i złą. Udowodniono, iż można wywalczyć i zapewnić byt robotnikowi bez uciekania się do metod wywrotowych, nierealnych, przez które życie przechodzi do porządku dziennego. Dlatego też, Federacja Pracy żyje w niezgodzie i rozdzwieku z obozem socjalistycznym, i jest zagorzałym przeciwnikiem komunizmu.

Bolszewizm podnosił głowę i w Ameryce, szerząc dezorganizację w życiu przemysłowym i robotniczym. Samuel Gompers, w mowie swej, poświęconej radykalistom powiedział był wówczas:

— W ruchu robotniczym istniał zawsze pewien odłam radykalny, który usiłował

zniszczyć nawet te siły, które go przez całe szeregi lat ochraniały (mowa o Federacji Pracy). Otóż ten właśnie element przeskadza zorganizowanej pracy w uskutecznieniu jej słusznych postulatów. Nieliczni coprawda bolszewicy amerykańscy przyspożyli nam wielu wrogów, i przedstawili cały ruch robotniczy w nader ujemnem świetle.

Ze śmiercią Gompersa poniosła Federacja Pracy dużą stratę. Będąc w osobistej zażyłej przyjaźni z pięcioma z kolei prezydentami Stanów Zjednoczonych, Gompers był w Ameryce ogromnie popularny. Rad jego często zasięgali Mac Kinley, Roosevelt, Taft, Wilson i Harding, co wywierało dobroczynny wpływ na złagodzenie wielu poważnych przesileni przemysłowych.

Siłą Federacji Pracy jest jej apolityczność. Coprawda przy ostatnich wyborach odnoszono się życzliwiej do La Follette'a, niż do Dazis'a lub Coolidge'a, lecz robotnicy sami patrzyli na to niechętnem okiem, dając temu wyraz podczas swych odwiedzin w Białym Domu, gdzie ich przedstawiciel G. Frietas powiedział prezydentowi:

— „Przemysłowo idą nasi ludzie za wybranymi przez siebie leaderami, politycz-

nie jednak za żadnym człowiekiem ani też partją. Jako jednostka i obywatel Ameryki ma każdy z nas prawo głosować indywidualnie, bez nakazu. Tego prawa nie zrzekliśmy się i nigdy go się nie zrzekniemy”.

Praca solidna, zrównoważona, licząca się z możliwościami i poczynająca sobie realnie, bez wykrzykników i ulicznych skandali, ta praca musiała wydzwignąć robotnika, bez ingerencji państwa, bez czczych frazesów i bez wywracania przyjętego porządku społecznego.

Amerykańska Federacja Pracy jest istotnie federacją — pracy.

P o l i t y k a

Polityka w Europie to synonim lekkiej awantury, pretensji i wzajemnych antagonizmów.

Polityka w Stanach Zjednoczonych — to synonim interesu.

Wybiera się urzędników, czy to stanowych, czy też federalnych, w wyborach biorą udział partje: demokratyczna, republikańska, i tak zwana trzecia partja progresywna, która, zwłaszcza w czasie kampanji wyborczej w roku 1924 występowała ostro, lecz dziś, po śmierci swego przywódcy Roberta La Follette, zda się jest w rozkładzie i po staremu

będziemy mieli do czynienia z republikanami i demokratami.

Walka polityczna różni się od europejskiej nie tylko małą ilością stronnictw, zasadnicza różnica leży w tem, że nie trwa stale. Powtarza się periodycznie i wychodzi na jaw podczas wszelkich wyborów, najsilniej daje się odczuwać w czasie elekcji prezydenta lecz już na drugi dzień po dokonanych wyborach pisma przestają interesować się walkami — Amerykanin przestaje pamiętać o polityce.

Jest nowy prezydent, — walka partyjna dla szerokiego ogółu skończona.

Świadczy o tem choćby taki drobny epizod.

Wieczorem dnia, którego odbywały się wybory, byłem w kinematografie. Obraz przerywano co chwila, aby za pomocą ekranu obwieszczać liczbę głosów, padających na poszczególnych kandydatów ze strony delegacji stanowych.

— Davis ma przewagę.

Oklaski zwolenników i gwizdy i tupania antagonistów.

— Stan Wisconsin za La Follettem.

Brawa i wyraźne oznaki niechęci.

— Coolidge ma przewagę.

Entuzjizm i przeraźliwe gwizdy.

Wreszcie...

— Coolidge wybrany ponownie na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Muzyka gra hymn naródowy, wszyscy powstają z miejsc — biją brawo i wrogowie z przed paru chwil wznoszą zgodny okrzyk:

— Nasz prezydent niech żyje!

O polityce przestaje się mówić aż do następnych wyborów.

Wybory mają swój odrębny charakter, dzięki agitacji przedwyborczej, która nadaje im specjalne piętno — amerykańskie.

Najbardziej gorączkowe i namiętne są wybory do władz miejskich; do konwencji odbywają się w daleko spokojniejszy sposób.

Wybory miejskie dzielą się na dwie części: pierwsze tak zwane prawyборы, do których może postawić kandydaturę każdy obywatel, skoro wykaże listę kilkudziesięciu popierających go, oraz wybory właściwe, dwóch kandydatów, którzy w prawyborach osiągnęli najwyższą liczbę głosów.

Agitacja dzieli się również na dwie kampanje: do prawyborów i do wyborów; pierwsza, możnaby rzec jest plastyczna, raczej obrazowa, posługująca się plakatami, fotografjami kandydatów, rozrzutkami i t. p. Miasto wygląda tak, jakby jego mieszkańcy trudnili się głównie przemysłem fotograficznym i wystawiali swe eksponaty na publiczny widok — gwoili reklamie. Plakaty wyborcze, nalepiane na specjalnie budowanych rusztowaniach dochodzą do niespotykanych w Europie rozmiarów. Każdy z kandydatów rozsyła broszurki, w których

pisze wszystko, co może o sobie i na swoją korzyść powiedzieć.

Masa zachowuje się na razie niezdecydowanie, a przeto bezstronnie. Dzienniki podają całe szpalty wiadomości o zebraniach (meeting'ach) i mowach kandydatów, ich podobizny; reportérzy podchwytyją rozmowy znanych osobistości — właściciele wydawnictw święcą żniwo kasowe, gdyż w Stanach Zjednoczonych istnieje prawo, mocą którego kandydaci, lub ich krewni, czy też zwolennicy muszą płacić za zamieszczanie reklam wyborczych, a w niektórych stanach prawo zabrania ogłoszeń wyborczych bez jednoczesnego podania nazwiska i adresu ogłaszającego oraz ceny, za jaką ogłoszenie zostało sprzedane.

Nie należy więc bynajmniej do rzadkości, gdy na jednej stronnicy tego samego pisma znajduje się kilku kandydatów, których konterfekty uśmiechają się kusząco do czytelnika, zachęcając do głosowania.

Po prawyborach sytuacja zaczyna się rozjaśniać: na każdy urząd jest tylko po dwóch kandydatów — reszta odpada. Oblicze miasta zaczyna przybierać inny wygląd, giną masowe fotografie, a na ich miejscu ukazują się plakaty zwycięzców, i teraz dopiero zaczyna się wyścig właściwy. Kampanja przenosi się już na łono partyjnych dzienników, wiece stają się rzeczą codzienną, na miasto wyjeżdżają na kształt szerszeni tysiące samochodów, udekorowanych transparentami, które ciągną

sznurem przez ulice w paradnym pochodzie. Na czele jedzie specjalne auto z gramofonem, który gra, z bębniem, który bębni — i z wykrzykiwaczem, który drze się w niebogłosy, zalecając w ten sposób cnoty danego kandydata.

Najciekawszy jest dzień, poprzedzający samo głosowanie. Pomysłowość amerykańskiej reklamy i na tem polu święci triumfy. Dzień wyborów jest spokojny — urzędy i fabryki są przeważnie nieczynne, a wieczorami tłumy zgromadzone przed redakcjami, wyczekują wyników głosowania, które są równocześnie wydawane, zaraz po ich ogłoszeniu, w teatrach, w kinach i t. p.

Wyборы kandydatów na konwencje prezydenckalne odbywają się znacznie spokojniej. Nie widać samochodów z gramofonem i bębniem, mury nie są pokryte fotografjami, rezultaty są przyjmowane bez podniecenia. Nie znaczy to, aby mieszkańcy nie przywiązywali wagi do elekcji prezydenta. Bynajmniej. Lecz procedura tych wyborów jest tak długa i zagmatwana, że głosowanie w danej miejscowości, tworzy tylko słaby obraz, na którego zasadzie ostateczne wyniki są jeno zagadką lub, w najlepszym razie, domyslnikiem.

Wyборы miejskie interesują mieszkańca, gdyż istnieje w Ameryce silny patryjotyzm lokalny, a nawet na terytorjum jednego miasta — dzielnicowy. Z reguły za kandydatem na prezydenta głosuje, bez względu na przekonania polityczne, ślepo cały stan, z którego on pochodzi, a jego miasto urodze-

nia uważa sobie za punkt honoru, aby za „swoim” kandydatem agitować.

Ubiegający się o tytuł prezydenta musi przede wszystkim ogłosić, że kandyduje, następnie wybrać w poszczególnych stanach mężów zaufania, którzy z kolei ubiegają się o wybór na konwencje (demokratyczną lub republikańską). Od tego, ilu zwolenników każdego z kandydatów przejdzie w głosowaniu w stanach zależy, który będzie przez całą partję wysunięty jako kandydat. Skoro partje zdecydowały kandydatów, odbywają się ponowne głosowania na wyborców, i od tego, z którego obozu — republikan — czy demokratów — zostanie wybrana większa liczba wyborców — zależy ostatecznie wybór prezydenta.

Bil Johnsona

Dnia 14 kwietnia 1924 roku zaszedł w sprawie imigracji do Stanów Zjednoczonych zwrot kategoryczny: bil Johnsona, usilnie popierany przez Ku Klux Klan, został przyjęty w Kongresie znaczną większością głosów. Nowe prawo, i oparcie „kwoty” imigracyjnej na cenzusie narodowości, zamieszkających w Ameryce w roku 1890, należy rozpatrzyć z kilku punktów widzenia.

Bil, zabraniający zupełnie imigracji japońskiej, naraził na lekki szwank amerykańską politykę

„otwartych drzwi” na dalekim wschodzie. Z tej też przyczyny sekretarz Hughes był zdecydowanym jego przeciwnikiem, zwłaszcza po ostrym proteście ambasadora japońskiego w Washingtonie, Marsano Hanikara, w którym rząd japoński stwierdził, że uchwalenie dodatkowych praw, wyjątkowych przeciw Japończykom, może doprowadzić do niepożądanego konfliktu między obu państwami.

Wyzwanie, jakie wbrew myśli wielu polityków rzucił Kongres pod adresem Japonji, może się jeszcze kiedyś stać brzemiennie w skutki, choć konflikt w r. 1924 został zażegnany. Z punktu widzenia emigracji europejskiej, nowy bil faworyzuje narody anglo-saskie i germańskie. Podstawą dla dotychczasowych obliczeń kwoty był rok 1910, dla emigracji polskiej szczególnie niekorzystny. Wr. 1924 kwota polska obniża się jeszcze znacznie, a jednocześnie z nią wiele innych. Poniższa tabela wyjaśni stosunek liczb dotychczasowej oraz obecnej imigracji. 1)

Anglja	77342	62548
Niemcy	67607	51277
Szwecja	20042	9561
Norwegja	12202	6454
Polska	21202	6151
Francja	5729	3914
Włochy	42057	3912

1) W pierwszej kolumnie jest podana liczba kwoty rocznej emigrantów wpuszczonych wedle starego prawa — w drugiej, podług nowego.

Dania	5619	2789
Czechosłowacja	14557	2031
Rosja	21613	1992
Austria	7451	1103
Jugosławia	6426	851
Rumunia	7419	638
Turcja	2388	129
Grecja	3294	47

O ile sprawa japońska z wejściem w życie bilu Johnsa, może zemścić się na polityce zagranicznej, o tyle wyraźne faworyzowanie pewnych ras może wywołać i wywołało fermenty wewnętrzne i odruchy niezadowolenia ze strony narodów upośledzonych.

Dla emigracji polskiej, wzięty za punkt wyjścia rok 1890 jeszcze bardziej od roku 1910 niekorzystny sprowadza „kwotę” do nominalnej liczby. Polacy, zamieszkali w Ameryce, stanowią około czteromiljonowy odłam społeczeństwa amerykańskiego, i są, przy całym zachowaniu patriotyzmu polskiego, wzorowymi obywatelami, szanującymi prawa przybranej ojczyzny.

Najobiektywniejszy badacz musi Polakom przyznać, iż są na wychodźstwie elementem wartościowym, a ograniczenie imigracji należy przypisać dwom czynnikom.

Rdzenni Polacy wynaradawiają się z trudnością i pozostają wierni językowi ojczystemu; fakt ten stoi w sprzeczności z wygłaszanymi przez tak

zwanych stuprocentowych Amerykan hasłami: „Ameryka dla rdzennych (?) Amerykanów”. Drugim czynnikiem, przemawiającym na niekorzyść imigracji polskiej, jest — jak w swoim czasie oznajmiła chicagowska „The Tribune”, na mocy obserwacji Donalda Day’a, — imigracja obywateli polskich z łona mniejszości narodowych, elementu — zdaniem pana Day’a — dla społeczeństwa amerykańskiego szkodliwego. Artykuł wydrukowany w czasie walki o ograniczenie kwoty polskiej nosił wymowny tytuł: „*Poland seeks to send U. S. her trouble makers*” — „Polska stara się obdarzyć swoimi wichrzycielami Stany Zjednoczone”, to też powinno być tym faktem zainteresowane, gdyż mniejszości narodowe, pisze pan Day, w państwach powstałych po wojnie światowej, są elementem państwowo szkodliwym, a emigracja z tych krajów składa się w przeważnej liczbie nie z rdzennych mieszkańców, lecz właśnie z tych mniejszości narodowych, z którymi państwa europejskie nie wiedzą co począć”. Stwierdziwszy, iż Polska przeszła podczas ostatniej wojny chwile bardzo ciężkie i dla przyszłości ważne, pisze dalej: „*młode państwo walczy teraz o swe prawo do życia i o swą egzystencję nie tylko z państwami ościennymi, ale i z mniejszościami narodowymi, które zamieszkują nadgraniczne posiadłości państwa, tak samo, jak i centralne połacie kraju. Wysiłki rządu polskiego, aby je zasymilować, trafiają w próżnię. Żydzi, Niemcy, Białorusini i Ukraińcy, zamieszkali w państwie są zjednoczeni w swoisty blok, dla państwa polskiego niebezpieczny, który znajduje nawet*

swoje odzwierciadlenie w sejmie, gdzie stanowi grupę bardzo pokąźną. Mniejszości przyczyniają dużo trosk Polsce, a i zagranicą wychodzą wiadomości, utrudniające rządowi polskiemu pracę, niezawsze uzasadnione i prawdziwe”.

We wrześniu 1924 roku robotnicy byli przyjęci przez prezydenta Coolidge'a, który wypowiedział mowę programową o kwestji robotniczej. Ponieważ w tym czasie, wskutek podpisania bilu Johnsona, kwestja imigracyjna była bardzo popularna, prezydent na zakończenie swej mowy uzasadniał celowość zamknięcia granic przed napływem nowych emigrantów.

Poczem dodał pod adresem Europy:

„Niech Ameryka troszczy się przede wszystkim o siebie, a Europa o swoje własne dobro. Skoro państwa europejskie zastosują rozumny system ekonomiczny, postarają się o podniesienie stopy życiowej swej ludności, wówczas i w Europie zapanać będzie dobrobyt”.

Bogaty wujaszek Sam

Po wojnie, gdy narody Europy z trudnością jeno dochodzą do jakiej takiej równowagi gospodarczej, wszystkie oczy zwrócone są zazdrośnie za

Atlanty, gdzie na kolosalnych, wzorowo zagospodarowanych przestrzeniach rozsiadł się wuj Sam, bogaty wujaszek zbiedzonej Europy, która niema nawet tej zwykłej nadziei, że wujaszek po najdłuższym życiu coś nie coś zostawi. Wujaszek ani myśli bowiem odchodzić z tego świata, a na schorzałą siostrzenicę i to siostrzenicę od siebie starszą o parę wieków, patrzy podejrzliwie, żeby nie powiedzieć niechętnie.

Doktryna Monroe'go 1), o której istnieje bogata literatura 2), polega na stwierdzeniu faktu, że Stany Zjednoczone przestały być terenem kolonizacyjnym dla państw europejskich, i na postanowieniu niedopuszczania do ingerowania państw starego kontynentu do spraw południowo-amerykańskich, co w konsekwencji wywołało konieczność zwracania się o pośrednictwo Washingtonu, ilekroć państwa europejskie są zmuszone interwenjować u rządów republik południowo-amerykańskich 3).

Na tę doktrynę Ameryka powołuje się stale.

1) Jakób Monroe — był piątym z kolei prezydentem Stanów Zjednoczonych w okresie 1817 — 1825. Pochodził z Virginii. W początkach kariery politycznej zasiadał w Senacie, następnie był wysyłany w misjach dyplomatycznych do Paryża, Londynu i Madrytu. W roku 1810 został gubernatorem stanu w Virginii, potem sekretarzem stanu, a 1817 i powtórnie w 1821 wybrany na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zmarł w Nowym Yorku w 1831 r.

2) Gilman „Monroe”. Tucer „The Monose doctrine”. Cybichowski „Prawo międzynarodowe”.

3) Państwa południowo-amerykańskie, niejednokrotnie wносиły protesty przeciwko takiemu uprzywilejowaniu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, jednak jak dotąd bezskutecznie

Wszak nie jest członkiem Ligi Narodów, stworzonej przez jej byłego prezydenta Woodrowa Wilsona, choć, gdy statut Ligi był już w opracowaniu, zagwarantowano nienaruszalność doktryny Monroego.

— Wy sobie, a my sobie...

Posłuchajmy, co dnia 1 września roku 1924 powiedział prezydent Coolidge do przyjętych przez siebie robotników, z okazji powszechnie każdego roku w tym dniu, obchodzonego święta pracy — Labour Day.

„Jeśli cokolwiek można uczynić dla robotników — da się to przeprowadzić przez dalsze starania w kierunku zaopatrzenia ludności w zdrowotne otoczenie, w jaknajlepsze szkoły, oraz zapewnienie im ścisłego przestrzegania zasady — rzetelna płaca za rzetelną pracę.

„Nie wolno nam przeszczepiać na ziemię amerykańską cudzoziemskich idei ekonomicznych — musimy się trzymać amerykańskiej formy rządów, a z pewnością osiągniemy lepsze rezultaty”.

Następnie Coolidge podkreślił fakt, że robotnicy zaczynają dzięki swym bankom, stawać się potęgą kapitalistyczną, przez co z kolei nastaje w Ameryce era bogactwa ogólnego, dotychczas niebywałego. W dużej mierze należy ten stan rzeczy przypisać ograniczeniu imigracji. Zdaniem Coolidge'a imigranci osłabiają zarobki stałych mieszkańców,

a szczególnie robotników i obniżają ogólny poziom życia.

Na zakończenie wystąpił prezydent w obronie taryfy celnej, będącej od wielu lat kością niezgody i właściwie prawie jedynym punktem spornym pomiędzy republikanami a demokratami. Taryfa, w myśl twierdzenia Coolidge'a, zabezpiecza nie tylko przemysł krajowy, ale w równej mierze ochrania robotnika amerykańskiego, zabewniając mu pracę,—gdyby bowiem taryfa ochronna została obalona, przedmioty wyrabiane przez Amerykanina byłyby sprowadzane z Europy, gdzie je można taniej wykonać ze względu na tańszą robociznę, czego następstwem byłby upadek ekonomiczny Ameryki.

Po tych wywodach wypowiedział Coolidge zdanie, które już raz cytowałem w jednym z poprzednich rozdziałów:

„Niech Ameryka troszczy się przede wszystkim o siebie, a Europa o swoje własne dobro. Skoro państwa europejskie zastosują u siebie rozumny system ekonomiczny, postarają się o podniesienie stopy życiowej swej ludności, wówczas i w Europie zapanie dobrobyt”.

Wuj Sam, bogaty wujaszek, nie zdradza więc ochoty mieszania swą warząchwą we wrzącym kotle

starej Europy. Z zadowoleniem patrzy na Atlantyk, nieco złośliwie zezuje w stronę Pacyfiku, gdzie zamknął drzwi przed zalewem Japońskim, a Europa... „Niech Ameryka troszczy się o swoje własne dobro, a Europa o siebie.”

Czyli...

My sobie 'a wy sobie.

W czasie wojny umiał wuj Sam stanąć u boku słusznej sprawy. Wydał mnóstwo pieniędzy na pomoc zniszczonym krajom, pożyczał na prawo i na lewo, pożyczył dużo, bardzo dużo bo aż... 12,041,440.921 dolarów.

I tak winni są Stanom Zjednoczonym:

Anglja	4.577.000.000
Francja	4.137.224.354
Włochy	2,097.347.121
Belgja	471.823.713
Rosja	251.383.489
Polska	178.559.999
Czechosłowacja.	115.528.439
Jugosławia . . .	64.139.050
Rumunja	45.605.447
Austrja	29.829.078
Estonja	17.488.683
Grecja	17.250.000
Armenja	14.861.188
Finlandja . . .	8.955.000
Inne państwa .	14.445.358

Sumka to bardzo okrągła, bardzo imponująca i nawet nieco przygniatająca.

Zastanówmy się jednak, co by wujaszek Sam, już i tak bardzo zamożny począł, gdyby państwa dłużnicze, załadowały na okręty złoto i przywiozły je do Nowego Yorku?

Aby na to, czysto teoretyczne pytanie odpowiedzieć, należy uprzytomnić sobie, że Ameryce już i tak daje się odczuwać nadmiar kapitału. Żyjąc życiem zamkniętym, wystarczając sobie w zupełności, gdyby otrzymała obecnie te sumy, z pewnością nie złożono by ich w skarbcu, lecz pożyczono dalej innym państwom.

Wszak i tak kapitał amerykański zaczyna szukać zagranicą dogodnych lokat, nie znajdując w swej ojczyźnie zapotrzebowania. Ilość obiegowych pieniędzy w roku 1920 wynosiła w Stanach Zjednoczonych: 2.901.252.000 dolarów, gdy w innych państwach: 1)

Anglja	804.232.000
Francja	685.517.000
Japonja	645.486.000
Argentyna	494.438.000
Rosja	300.000.000
Niemcy	260.028.000
Indje	162.611.000
Australja. . . .	115.409.000

1) Cyfry niniejsze, jak również sumy długów europejskich zapożyczyłem z dzieła prof. Nowakowskiego „Do kogo świat należy“.

Szwajcaria . . .	92.205.000
Uragwaj	62.266.000
Polska	2.958.000

Gdyby zatem Europa oddała dziś Stanom Zjednoczonym swe długi wywołałoby to panikę na giełdzie pieniężnej na Woll street, i doszczętne wynędznienie Europy, która bądź co bądź jest odbiorcą towarów, wyrabianych w Ameryce.

Należy się spodziewać, że życie pójdzie w innym kierunku i że będziemy świadkami, jeśli nie my, to następne pokolenia, dwóch faz w stosunkach amerykańsko-europejskich.

Po pierwsze:

Stany Zjednoczone pożyczają pieniądze Europy.

Po drugie;

Stany Zjednoczone, nie mogąc odebrać swych wierzytelności zaczną je używać dla inwestycji w Europie.

To znaczy:

Zamiast, żeby jakieś państwo zwracało pieniądze Ameryce, będzie ono wpłacało je do amerykańskiego konsorcjum, które na terytorjum tegoż państwa będzie zakładało fabryki lub budowało nowe miasta.

Jest to oczywiście luźna fantazja na temat przyszłości, ale to, co dziś wydaje się fantazją, może jutro przyoblec się w szaty rzeczywistości.

Acz Ameryka dzisiejsza kroczy zwycięsko na-
przód, acz są autorowie którzy darzą ją tytułem
„Nowej Romy” — pani świata — w każdym razie,
gdyby wuj Sam w tym pochodzie wszedł do Eu-
ropy jako przedsiębiorca musiałby baczyć, aby sza-
cowna „babcia Europa” żyła i rozwijała się.

A wtedy może następni prezydenci nie będą
zalecali amerykańskiej taryfy celnej — Wuj Sam
poda dłoń swej sędziwej siostrzenicy.

K u - K l u x - K l a n

Podczas wojny cywilnej w ^{stanach} południo-
wych doszli do władzy Murzyni, opanowawszy
w sposób niezupełnie prawny Izby Reprezentantów.

Milicja murzyńska dopuszczała się niejedno-
krotnie wystąpień terrorystycznych względem białych,
aż wreszcie około roku 1867 doprowadzona do
ostateczności młodzież, żyjąca jeszcze wspomnie-
niami kampanji wojennej, zjednoczyła się w rodzaj
zakonu socjalno-politycznego i wystąpiła zaczepnie,
tworząc organizację, która działała więcej „czarami”
niż mieczem.

A był to nie najgorszy pomysł z tymi „cza-
rami”. Ludność murzyńska, chorobliwie zabobonna,
lękająca się nocy i zjaw, nie mogła przetrzymać
napadu zakapturzonych w biel mężów i koni, mo-
gących dzięki ukrytym pod płaszczami gumowym

workom, wypić cztery wiadra wody jednym tchem i ukazujących się tylko podczas ciemności nocnych.

Fantastyczność i tajemniczość były powodem klęski Murzynów. Nimb fantastyczności bowiem, osłaniał szeregi konspiracyjnej organizacji *Ku-Klux-Klan'u*.

Gdy pokój zapanował w kraju, gdy nastały warunki normalne, rola wroga *Unji* skończyła się, a dziś, gdy wzorowa policja stoi na straży swobody i spokoju jednostki, bez względu na kolor jej skóry, dziś, istnienie samoobrony tego rodzaju wydaje się rzeczą zbędną, lub conajmniej zakrawającą na dziecinną zabawę.

Tymczasem...

Po wojnie światowej sprawa *Ku-Klux-Klan'u* wybiła się na czoło zagadnień wewnątrz-państwowych. Celem Organizacji, silnej mimo doznanych już w roku 1871 porażek za sprawą ówczesnego Kongresu, jest „zamerykanizowanie” Stanów i zlanie ich w jednolitą bryłę narodową, co w dobie dzisiejszej jest przedewszystkiem nierealne, choćby z uwagi na to, że zbyt szybkie, jawnie tendencyjne wynaradawianie ma skutek zwykle odwrotny od zamierzonego — a w tym wypadku może wzmocnić prądy narodowościowe, w tej mozaice ras i narodów, z jakiej się składa społeczeństwo Stanów Zjednoczonych.

Drugim celem dawnych *Rycerzy złotego koła*, jest walka ze wszystkimi wyznaniami — z wyjątkiem reformowanego. — Zważywszy, że w Ameryce

jak zaznaczałem, spotyka się wyznawców wszystkich religij świata, stwierdzić wypada, że wprowadzenie średniowiecznych dysput religijnych, tępienie wszystkich wrogich sobie wierzeń może doprowadzić do poważnych starć i zamieszek wewnętrznych.

Tym celom służąc, Klaniści, w myśl dawnych tradycji, schodzą się na swe obrady w nocy, — przybrani w białe, fantastyczne stroje — palą krzyże, gdyż godłem organizacji jest płonący krzyż, a swym prowokacyjnem zachowaniem niepokoją ludność i doprowadzają do awantur, w których czynną rolę musi niekiedy odgrywać policja, a nawet wojsko z bronią w ręku.

Pomne na liczby Klanistów i na ich wpływy, obie partje polityczne w 1924 roku przemilczały dyplomatycznie ten problem, choć w niektórych Stanach wyborów dokonano pod hasłem popierania lub zwalczania Klanu.

Jenerał Jerzy Van Horne Mosley, z obozu wojskowego w Custer, zmuszony był zapowiedzieć, że ogniem i mieczem każe oczyścić wzgórze Harbord, na którem od dłuższego czasu odprawiali swe „sabaty” członkowie niewidzialnego rządu.

Podczas wyborów w Texas znikła dotychczasowa klasyfikacja obywateli na demokratów i republikań, a głosowano pod zawołaniem Klanu lub Anti-Klanu. Przeciwnicy Klanu zwyciężyli na czele z kobietą — panią Fergusson, 1) pierwszą w historii

1) W trakcie przygotowania do druku niniejszych notatek, autor dowiedział się z piśm, że pani Fergusson została pociągnięta do odpowiedzial-

Stanów Zjednoczonych kandydatką na gubernatora stanu.

Czarni wśród białych

Z powodzi tanich koronek, sztucznych kwiatów na modnym kapeluszu, wyłania się twarzyczka o smutnych, czarnych oczach. Usta ma szerokie, wargi nabrzmiałe, wydęte. W jaskrawych barwach sukni, skrojonej według najnowszej mody, odbija się i mieni gorący blask słońca.

Nóżka obuta w czarny pantofelek i jasne pończoszki, cienkie jak pajęczyna, poprzez które prześwieca brunatna skóra.

Nikt na nią nie patrzy, bo jest zjawiskiem podrzędnem, brzydkim, a nieraz śmiesznem, gdy na ciemne lśniące policzki nałoży warstwę różu i pudru.

Idzie przez rojne ulice, gdzie wielopiętrowe gmachy mieszczą w swem wnętrzu wszystko, czego kobieta do swego stroju potrzebuje.

I na kuszące przepychem wystawy pada jej pożądlivy wzrok — chciałaby posiąść owe drogie klejnoty, bezcenne futra, tkaniny, — któreby z kolei bez wahania oddała za jaśniejszą karnację ciała.

ności karnej za nadużycia pieniężne. Mąż jej, zajmował poprzednio również stanowisko gubernatora stanu Texas i został usunięty za malwersacje. Żona chciała zrehabilitować małżonka, lecz jak z powyższego widać, to się jej nie powiodło.

Murzyni, jako obywatele Stanów Zjednoczonych, korzystają z takich samych praw, jak reszta mieszkańców.

Mają od 1870 roku prawo głosowania, wybierają prezydenta i senatorów, cieszą się równouprawnieniem wobec sądów, ale mimo teoretycznie niczem niezaprzeczalną równość, „neger”, prowadzący publicznie pod rękę białą kobietę, naraziłby się na... zlynczowanie.

Czarny był i jest przedmiotem pogardy, uchodzi w opinii współobywateli za istotę niższego gatunku, a drobne niewinne szykany ze strony białych, znajdują zwykle w oczach społeczeństwa wytłumaczenie i pobłażliwość, a nawet pewne złośliwe zadowolenie.

To też dążenia Murzynów zmierzają przede wszystkim ku dorównaniu rasie białej. Korzystając na równi z innymi ze szkół i uniwersytetów, wydają rokrocznie z pośród siebie pewien — niewielki coprawda — procent lekarzy, praktykujących wyłącznie wśród „kolorowych” pacjentów, rzadziej adwokatów. Urzędników-murzynów nie spotyka się prawie wcale, ani też jednostek, zajmujących się handlem lub drobnym przemysłem. Ogół ludności pracuje w fabrykach, przy robotach ziemnych, na farmach, jako wyrobnicy dzienni, wreszcie spełnia czynności w zakresie służby wchodzące, czy to w hotelach, instytucjach prywatnych lub państwowych i wreszcie w lokalach, z reguły wskutek „czarnej” obsługi drugorzędnych. Do przywilejów Murzynów

należy sprawowanie służby kolejowej, którą reprezentują na rozlicznych sieciach i we wszystkich kompanjach.

Jak to już zaznaczyłem, wszystkim dążeniom i czynnościom Murzyna towarzyszy wytrwale, — na pierwszym planie, — i dominujące zajmuje miejsce, — pragnienie dorównania białym.

Murzynka przyjmuje nie tylko z niewolniczą pokorą mody, nieraz dla niej najniestosowniejsze, lecz usiłuje naśladować kobietę białą, żyjąc jej trybem życia i hołdując naiwnie zwykłym upodobaniom Amerykanki, częstokroć wbrew swoim własnym chęciom i przekonaniom.

Murzyn, posiadający pewne aspiracje, pod które podciąga elementarne wykształcenie, stara się przede wszystkim o „zajęcie pozycji socjalnej”, równej białemu. Zdarza się jednak często, iż biały nie chce pracować wespół z czarnymi i na tem tle powstawały dość ostre dysputy, kończące się często wymową pięści lub pałki.

Wobec równości obywatelskiej w głosowaniu, kandydaci na poszczególne urzędy, a nawet prezydent, muszą poniekąd liczyć się z Murzynami, zwłaszcza w okresach przedwyborczych.

W czasie wyborów 1924 roku Murzyni wystosowali pod adresem prezydenta Coolidge'a dość kłopotliwe pytanie, czy popiera Ku-Klux-Klan i czy prawdą jest, jakoby za jego kandydaturą przemawiali Klanowcy. Pytanie, stawiające prezydenta w trudnem położeniu pozostało bez odpowiedzi.

Klanowcy należą do kategorii wrogów zaciętych i nie uznających kompromisu. Murzyni, zwalczani przez Klan na równi z katolikami, żydami i innymi przybyszami, lękają się pogromów ze strony fanatycznej organizacji, która stała się przyczyną budzących się antagonizmów narodowościowych, rasowych i religijnych w tolerancyjnych dotychczas Stanach Zjednoczonych.

W Nowym Yorku wychodzi pismo *Negro World*, dookoła którego grupują się warstwy, propagujące ideę wielkiego państwa murzyńskiego w Afryce Centralnej i emigrację Murzynów do tego państwa.

Pismo to, wychodzące pod hasłem: „*Afryka dla Murzynów*” podało wiadomość, iż sir Ryszard Tobitt, komandor orderu „*Nilu*” został wybrany w roku 1924 rzecznikiem do spraw murzyńskich na dworze angielskim. Innemi słowy, Murzyni w Ameryce marzą o powstaniu wielkiej republiki na „czarnym lądzie”. Stworzyli order, który cenią wysoko, i wybierali kandydata na pierwszego prezydenta w osobie Marcusa Garvey'a.

Myśl o własnem państwie rozwija się powoli i systematycznie wśród dziesięciu milionów Murzynów, zamieszkujących Stany Zjednoczone. Wynikiem uchwytnym akcji *Negro World* jest zaczątek konsolidacji ruchu murzyńskiego, zacieśniający pomiędzy nimi węzły, stwarzając i podnosząc organizacje, dotychczas rzadkie i mało znaczące.

Poczynania, dążące do zjednoczenia „czarnego ludu” w jedną, świadomą swych celów organizację,

są dopiero w załączku i wątpliwe jest — choćby ze względu na ogólny niski poziom umysłowy — i brak wszelkiej przedsiębiorczości Murzynów — szybkie zrealizowanie planów organizacyjnych.

Może tego doczeka ot ta — tam czarna żywa plamka, tonąca w bieli poduszek i licznych falbanek, która w wózekczku przejeżdża cieniste aleje parku, ten mały, tłusty Murzynek, trzymający w roześmianej buzi, ku oburzeniu swojej mamusi, drobny, czarny paluszek.

T r a d y c j e

Każdy naród ma pewne, wyprowadzające swój rodowód z dawnych czasów tradycje, które wrosły w życie społeczeństwa i stały się uświęconymi przez czas zwyczajami nienaruszalnymi, gdyż zyskały prawo bytu, jako coś zdołanego w doświadczenia pokoleń i obserwowanego od czasów niepamiętnych

Nawet w królestwie Wuja Sama, w kraju, którego mieszkańcy za cel postavili sobie przede wszystkim życie w sferze zamierzeń realnych, znalazło się miejsce na sentymentalne wspominki minionych dni i na obchody tradycyjne.

Istnieje, nieliczny coprawda, szereg tradycji, do których jednak, a może dlatego właśnie — ludność jest przywiązana i które cieszą się ślepem uznaniem ogółu. Czy to będzie dzień dziękczynie-

nia, w którym każdy Amerykanin spożywa indyka — zwyczaj, sięgający pierwszych przybyszów do nowej Anglii — czy też ustanowiony w maju dzień ku czci matek¹⁾), wszystkie są ściśle i gorliwie przestrzegane. Złamanie tradycji natrafia na duże przeszkody, chociażby chodziło o zniesienie „shake hand” z prezydentem, zwyczaju, pamiętającego brask niepodległości, a polegającego na tem, że przez kilka dni w roku przychodzą do „Białego Domu” rzesze ludzi w celu zadokumentowania równości obywatelskiej i demokratycznej przez uściśnienie dłoni prezydenta.

Amerykanie zasadniczo podania ręki nie nadużywają i do tej formy pozdrowienia przywiązują specjalną wagę. Prezydent w dzień przyjęcia ścisła dłoń tysiącom osób.

Obliczono, że w dzień Nowego Roku 1924 liczba odwiedzających doszła do trzech tysięcy pięciuset. Tłumy, mimo mrozu, stały po kilka godzin w dobrze znanym z czasów wojny „ogonku”, po czem wchodziły do Białego Domu, aby podać prezydentowi rękę, na pamiątkę czego otrzymywały od sekretarza bilet wizytowy z facsimile prezydenta.

Zwyczaj to uświęcony wiekową tradycją, ale... dla prezydentów bardzo męczący, wskutek czego zaczęto prowadzić energiczną agitację w celu zniesienia go. Prawnie kwestja nie jest zawila, chodzi bowiem o przegłosowanie w senacie uchwały, któ-

1) Amerykanin umiał zdobyć się na taką subtelność, jak przysyłanie kwiatów swej matce w dniu swoich urodzin.

rej mocą prezydent będzie zwolniony od urzędowania masowych przyjęć.

Faktycznie zaś punkt ciężkości spoczywa w trudnem zadaniu, aby zmiany tego rodzaju nie wywarły przykrego wrażenia w szerokich masach.

Lekarze, którzy w pierwszym rzędzie walczą o zniesienie „shake hand”, motywują swoje stanowisko dbałością o zdrowie prezydentów.

Niedawno profesor uniwersytetu w Hansard, dr. Serguet, nawiązując do uroczystości noworocznych, ogłosił rozprawę, w której stwierdza na mocy dokonanych obserwacji, iż normalny uścisk dłoni wywiera ciśnienie 85 funtów. Obliczenia dokonano na podstawie badania siły uścisku u tysiąca osób.

Ponieważ prezydent Coolidge przyjmował tłumy od godziny 11 rano do 2 popołudniu podając przez ten czas bez przerwy rękę trzem tysiącom pięciuset osobom, łatwo przeto obliczyć, iż jego prawica musiała w przeciągu kilku godzin wytrzymać ciśnienie 297500 funtów, czyli 148 ton. Choć ciśnienia nie zastosowano naraz lecz rozłożono na przeciąg trzech godzin, prezydent po skończonej ceremonji był niezdolny do pracy, wyczerpany i zmęczony, a jego prawe ramię przypominało nadal dotkliwie o dokonanym obowiązku. Zwolennicy prezydenta, bowiem aby dać wyraz swej sympatji, starają się ją zadokumentować w uścisku mocnym i jak najdłużej trwającym.

Zniesienie tego, jak go lekarze nazywają „barbarzyńskiego zwyczaju”, trafia na opór w demokratycznie usposobionych masach, uważających „shake hand” z najwyższym dostojnikiem za swój przywilej i prawo.

Zwolennicy reformy używają wszelkich sposobów dla przychylenia opinii społecznej ku spokojnemu przyjęciu zmian, aby nie wywołało niezadowolenia wśród żarliwych, obstających przy swoich prawach obywateli.

Radjo i kino

Radjo w zastosowaniu użyteczności dla ogółu znajduje wśród mieszkańców Ameryki tak duże rozpowszechnienie, jak... gramofony; trudno bowiem dzisiaj wyobrazić sobie mieszkanie przeciętnego „yankee”, nie zaopatrzonego w gramofon lub — zależnie od stanu zamożności, pianolę.

Na tle masowej konsumpcji, radjo (o ile tego rodzaju określenie jest dozwolone), zaczyna się wyłaniać szereg zagadnień. Ktoś, z notorycznych zwolenników głębokich dociekań z dziedziny zjawisk psychologicznych, zastanawia się nad rozwiązaniem zasadniczej kwestji: „Czem zajmowałiby się ludzie doby obecnej, gdyby nie było radjo”?

Radjo jest rozrywką i kształcącą i miłą, a przede wszystkim urozmaiconą, gdyż całokształt pro-

gramu obejmuje, poza częścią odczytową i muzyczną, różnorodne tematy z chwili bieżącej.

Nastawiając aparat odbiorczy na odpowiednią, codziennie w prasie ogłaszana, kombinację liter, można, poczynawszy od uczestniczenia w koncercie symfonicznym i wysłuchania mowy znanego działacza społecznego, odczytu o imigracji, śpiewu sławnego tenora, wykładu z cyklu „gospodyni i kuchni”, zakończyć mile spędzony wieczór na upajaniu się harmonią tonów orkiestry murzyńskiej, przygrywającej w dancingu na *jazz-band'zie*.

Przy pomocy radjo można brać lekcje obcych języków, wskutek systematycznego podawania czasu regulować zegarek, dowiedzieć się o wynikach wyborów, lub wyroku, wydanym na głośnego mordercę.

Entuzjaści zastosowania radjo do domowego użytku są zdania, iż koncerty na estradach, w obliczu napełnionych publicznością sal, znikną z powierzchni ziemi, ustępując miejsca garstce wirtuozów, grającej dla całego świata jednocześnie, za pośrednictwem radjo.

Mniej entuzjastycznie nastroszeni wyrażają przekonanie, że tak, jak fotografie nie zdołały uczynić konkurencji malarstwu, a gramofony — artystycznym produkcjom muzycznym, tak i radjo nie przekroczy granic, w których zakresie mieści się jego olbrzymia użyteczność.

Skoro mowa o radjo, które staje się powoli integralną częścią każdego mieszkania, wypada wspomnieć o innej, jeszcze bardziej popularnej rozrywce... o kinie. Przeciętny Amerykanin dzieli swój czas między pracę — wytężoną i nużącą, — sporty i „*ruchome obrazki*”, zastępujące po większej części jego literaturę.

Kino odwiedzają niemal wszyscy, bilet do kina jest artykułem pierwszej potrzeby. Na każdej niemal ulicy większego miasta znajdują się małe teatrzyki świetlne, obok wielkich gmachów, przeznaczonych dla tysięcy widzów. W osadach, pretendujących choćby do miana małego miasteczka, musi być przedewszystkiem kino.

Dzięki temu ekran bywa używany do popularyzowania pewnych myśli, jako też dla celów agitacyjnych. Prowadzona finezyjnie propaganda nie pozwala widzowi domyślać się, iż, obserwując przebieg akcji, wchłania w siebie mimowoli narzucane mu rozmyślnie ideje.

Rzucono na rynek cały szereg obrazów, interesujących przez ciekawą fabułę, po mistrzowsku ujęte momenty psychologiczne, dekorację i staranną grę aktorską, które przy swej zwykłej formie kinematograficznego dramatu mają za zadanie przeciwdziałać fali rozwodowej, która ogarnęła wszystkie sfery społeczeństwa, wywołując ot takie dziwolągi w rodzaju związku małżeńskiego pewnej damy, stojącej po raz osiemnasty na ślubnym kobiercu.

Obrazy wyświetlane — jak zresztą wszędzie — podzielić można na wartościowe oraz przeciętne,

szare, przemijające bez echa. Do pierwszej kategorii należy zaliczyć produkcje reżyserskie Griffith'a i Karola Ray'a, pracującego głównie nad legendami i obrazami historycznymi, z życia starej Ameryki — do drugiej — szablonowy, o sensacyjnym zabarwieniu film, w którym dominującą rolę gra detektyw, cowboy, tresowany szympan, bijatki i karkołomne sztuki akrobatyczne.

Codziennie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę — w niektórych przedsiębiorstwach „kręcą” bowiem bez ustanku — napływają rzesze ludzkie w mury kinematografów i, o ile w Europie ekran jest stosunkowo mało niebezpiecznym konkurentem dla sceny, o tyle w Ameryce teatr przestał być zupełnie konkurencją dla kinematografu.

Prohibicja

Będąc współredaktorem Rekordu Codziennego w Detroit, pisywałem feljetony i, gdy tylko nie miałem tematu do codziennej humoreski, sięgałem do spraw prohibicji, które nigdy nie zawodzą feljetonisty w Ameryce.

I raz umieściłem taki maleńki biuletynik:

DWIE BUTELKI.

Walka suchych z mokrymi przybiera coraz to groźniejsze rozmiary. Jeżeli tak

dalej pójdzie, jeżeli Liga Anti-salonowa, z panem Lechiterem na czele, znów zauważy wyprawiających orgje noworoczne przechodniów i zacznie grozić komisarzowi Crol'owi, to może w niedługim czasie wybuchnąć wojna — co prawda nie „białej i czerwonej róży” lecz wojna „suchej i mokrej butelki”.

I wtedy to czytać będziemy następujące komunikaty:

KWATERA GŁÓWNA ARMJI SUCHEJ BUTELKI

Na odcinku na lewem skrzydle — odgorzelni tajnej 108896 — rozegrała się walna bitwa. Nasza dzielna „sucha armja” wypila cały zapas alkoholu, tępiąc tym sposobem tego wroga ludzkości z całą bezwzględnością, poczem, patrząc oczyma, które z radości po spełnieniu chlubnego obowiązku, aż po-mętniały, widziała li tylko nie mogących się utrzymać na chwiejnych nogach i tańczących ludzi, których aresztowano.

Wzięto w ten sposób sto osób do niewoli i jednego Forda, który zamiast gazolinę wypił galon domowej wódki (Moonshine).

Silne patrole I-go pułku posunęły się aż po departamenty francuskich likierów, gdzie wyrządziły wrogowi duże straty, strze-

lajac zatrutemi korkami od szampana. Poczem spały przez trzy doby.

Na wszystkich odcinkach frontu małe potyczki.

Szef sztabu:

Pijalemało.

Prohibicja dowiodła raz jeszcze, że w naturze ludzkiej jest wiele przekory, że lubimy to, co zakazane. Poza ośmieszaniem prohibicji, napisano sporo poważnych artykułów, wykazujących, że niema tak szkodliwej rzeczy, jak zakaz picia napojów wyskokowych, poddający panowaniu wódki nawet tych, którzy nigdy dotychczas alkoholu nie używali.

W Ameryce picie jest modne i eleganckie. Jeżeli się zajdzie do znajomych, choćby wcześnie rano, gospodarz z pewnością wyciągnie butelczynę, pierwszy wypije kieliszek, by wpoić w gościa przekonanie, że to nie trujący fabrykat taniej, potajemnej gorzelni, lecz uczciwa, z Kanady przemycona wódka i człowiek pije, bo niewypicie to kamień obrazy.

Od czasu, gdy w Stanach Zjednoczonych zaprowadzono zakaz używania napojów wyskokowych, wyginał prawie doszczętnie ten typ obywateli, którzy powtarzają znane prawnicze przysłowie „*dura lex sed lex*”.

Ameryka pije na umór. Nigdzie przejezdny nie widzi tylu pijanych, co właśnie w tem królest-

wie prohibicji. Kroniki notują setki tysięcy aresztowań pijaków, policjanci porzucają służbę i zakładają tak zwane „salon'y” (karczmy tajne). Ludzie piją wszystko, a nieuczciwi, domowego chowu fabrykanci, właściciele tajnych gorzelní wyrabiają „monshine”, stokroć gorszy od spirytusu denaturowanego. Fabrykant ten pochłania mnóstwo ofiar w życiu ludzkim.

W Detroit obliczono urzędowo, że co ósmy człowiek ma coś wspólnego z fabrykacją, handlem lub wreszcie przemytnictwem *wody ognistej*. W święta na ulicach jedynie jako tako trzeźwi są przedstawiciele władzy.

Nie miała Ameryka kłopotu — sprawiła sobie prohibicję — skutek której piją nawet nieletni. 1)

Stany mają zbyt rozciągnięte granice morskie, aby ustrzedz je przed przemytnikami. W Washingtonie naprzykład, tuż pod okiem władz centralnych, odbywa się kontrabanda na wielką skalę. Na rzece Potomac stoją setki stateczków, zajmujących się wyłącznie przewozem alkoholu. Ludność nadbrzeżna jest w dobrych stosunkach z kapitanami tej floty, tak, że władze musiałyby ufortyfikować całą przestrzeń, aby móc kontrolować każdy wjeżdżający statek. Nie rzadko też czyta się telegramy o wal-

1) Wybory w roku 1924 odbywały się też pod znakiem prohibicji. O kandydatach mówiono „suchy bal” (Coolidge) „mokry Mac Adoo” „wilgotny Devis”. Mimo tych epitetów kandydaci na urząd prezydenta w swych programowych przemówieniach starannie omijali sprawę prohibicji, która wywołuje rozdzwięk pomiędzy ludnością.

kach, w których udział biorą armaty, staczanych między flotą Stanów Zjednoczonych a flotą przemytników alkoholu.

Etykieta i stanowisko kobiety

Jeżeliby ktoś, lubujący się w paradoksach powiedział, że, chcąc być dobrze wychowanym w Ameryce, należy wszystko czynić odwrotnie, niż w Europie, byłby bliski prawdy.

I tak:

W Europie mężczyzna, spotykając miłą znajomą, uchyla kapelusza, kłaniając się pierwszy. W Ameryce byłby to kwalifikowany nietakt. Pani, która spotyka znajomego, kłania się pierwsza; a mówiąc ściśle, daje skinieniem głowy znak, że pozwala się sobie ukłonić.

W Europie mężczyzna, idąc z białogłową, kroczy po jej lewej stronie, w Ameryce zawsze od jezdni, lub od strony, skąd grozić może niebezpieczeństwo.

Ponieważ nie piszę podręcznika dobrych manier, ograniczę się przeto do tych dwóch przykładów, choć możnaby ich przytoczyć znacznie więcej

Stanowisko Amerykanki jest bardzo silne. Jest otoczona czcią i opieką rodu męskiego; opie-

ka ta czasami idzie aż za daleko, tak, że mężczyźni w Ameryce z całej duszy pragną równouprawnienia.

O ile u nas młody elegant chętnie, powabnie spojrzy ku nieznanej mu bliżej, pięknej dziewczynie, o tyle w Ameryce woli nie ryzykować. Natomiast kobieta może spokojnie i, powiem, natarczywie spojrzeć ku młodemu człowiekowi, nie obawiając się konsekwencji. Dzieje się to dlatego, że zaczepiona na ulicy, może odwołać się bez troski do opieki przechodzących *gentlemanów*, a ci natychmiast zdejmą marynarki i zbokszą swywolnego adonisa na... kwaśne jabłko.

Na tem tle niektóre piękne panie uprawiają na ulicach wielkich miast brzydki proceder szantażu, polegający na tem:

Do przywoicie prezentującego się młodzieńca podchodzi „ona”.

Wywiązuje się dialog.

— Albo dasz mi młodzieńcze dziesięć dolarów, albo narobię krzyku i oświadczę, żeś mnie zaczepił.

— Ależ mnie w głowie nie było zaczepiać...

— Jakto? — więc nie patrzyłeś na mnie wymownie?

— Nie.

Piękna panna podnosi larum; w konsekwencji młody człowiek ma prawie wybite zęby, idzie do sądu, a nie zdarzyło się chyba, aby jakikolwiek mężczyzna wygrał tego rodzaju proces. Płaci więc

odszkodowanie za złamane serce dziewicze i płaci dentyście za sztuczne zęby.

To też najczęściej...

— Powiem, że zostałam zaczepiona, albo dziecięć dolarów.

— Mam przy sobie tylko pięć.

— To daj siedm.

Młodzieniec oblicza błyskawicznie koszty sądowe, stratę czasu na awanturę, oczyma wyobraźni widzi swe pomięte i podarte ubranie, podbite oko i... daje paniencie sześć dolarów, — zadowolony, że tak tanio wykupił się z przykrej sytuacji.

Obrazek ten tylko w małym stopniu należy uważać za karykaturę istotnego stanu rzeczy.

To też po ulicach miast mężczyźni, chodząc, spuszczaają skromnie oczy — niewiasty zaś spoglądają wyzywająco.

Pamiętam — zaraz po przyjeździe do Nowego Yorku, byłem wielce rozczulony powodzeniem. Niemal każda spotkana przedstawicielka płci pięknej, bez względu na wiek i urodę, oglądała mnie od stóp do głów. Takiego powodzenia nigdy w życiu w starej Europie nie miałem. I byłbym z pewnością wpadł w przesadną zarozumiałość, gdyby mnie nie uprzedzono, że w Ameryce „La donna è mobile” i że, nie chcąc się narazić na boks, należy chodzić z oczyma wstydliwie spuszczone.

Uprzywilejowanie kobiety poza objawem wysokiej cywilizacji, bierze prawdopodobnie swój początek z pierwszych lat osadnictwa.

Do dzikiej i niebezpiecznej podówczas Ameryki przyjeżdżali mężczyźni — kobiet było niewiele. Ta niewielka ich liczba musiała sprawić, że otaczało je wyjątkową troskliwością i opieką. Dziś minęły czasy pionierów... czasy wozów, konwojowanych na wschód, czasy napadów Indian i twardych początków rozbudowy Ameryki. Lecz przywileje kobiet pozostały w tradycji.

Kobieta zamężna uważa, że mąż jest od dostarczania pieniędzy, a ona od kupowania sukien. Panny w przeważnej mierze pracują same na siebie. Ponieważ w Ameryce jest zwyczaj, że dzieci płacą rodzicom za utrzymanie, gdy wiek pozwala im zarobkować, pracująca panna niewielką część swego zarobku wpłaca do wspólnej kasy domowej. Za resztę pieniędzy ubiera się i kupuje kosmetyki.

Podczas swej pracy przestaje być kobietą — jest pracowniczką.

Naprzykład:

Pan Harting ma stenotypistkę i sekretarkę w osobie uroczej Mary. Jest godzina piąta popołudniu. Pan Harting siedzi bez marynarki, naciska dzwonek. Wchodzi Mary. Szef nie podnosi się z fotelu i mówi głosem oschłym:

— Pani mi poda akty w sprawie transportu do Holandji.

Mary szybko wybiega i przynosi żądane papiery. Otrzymuje dalsze dyspozycje, które spełnia milcząco.

Wybija godzina szósta — praca skończona.

Piękna Mary wbiega do gabinetu pana Hartinga, który zrywa się szybko od biurka, pośpiesznie wkłada marynarkę, nie usiadzie, dopóki ona nie usiadzie, i grzecznie — nawet błagalnie — zaprasza ją na dancing. Ona grymasi — on prosi — ona jest niezdecydowana — on natarczywy — ona jest kobieta — on mężczyzna.

Słowem — poza godzinami pracy kobieta jest kobietą — w trakcie pracy maszyną, taką samą jak każdy mężczyzna.

Bo...

business is business...

F o n t a n n a

W wygodnym wagonie, na miękko wysłanych fotelach siedziało pięciu mężczyzn.

Pociąg niósł ich już drugi dzień z małego miasteczka, położonego w Górach Skalistych, ku wielkim centrom przemysłowym Północy.

Jechało ich pięciu. Pięć grubych cygar tkwiło w pięciu ustach, dziesięcioro oczu patrzyło przez okno na mknące krajobrazy — pięć rozwartych gazet leżało na kolanach. Murzyn wniósł syfon sodowej wody i pięć szklanek.

W pociągu jechało jeszcze kilku pasażerów, oni jednak nie zwracali uwagi na nikogo, pogrążeni w zadumie i w poczuciu głębokiej odpowiedzialności, wobec najpiękniejszego miasta w Stanach Zjednoczonych, jako że każde miasto w opinii mieszkańców jest perłą Ameryki.

Mały, barczysty jegomość wyrzucił właśnie ogarek cygara i ze smakiem jął żuć, miętowym aromatem przesiąkniętą gumę.

Jechali do Chicago, aby zakupić fontannę, która miała ozdobić plac przed ratuszem, w mieście — tak prawdę powiedziawszy, dość lichej, małej i zapomnianej, — lecz byli delegatami miasta — jako się rzekło — w ich własnem mniemaniu ślicznego, co zresztą niejednokrotnie słyszeli od wszystkich, starających się o urzędy stanowe, którzy zawsze zaczynają mowy od zapewnienia, iż to właśnie miasto jest miastem wyjątkowem i że głównie o poparcie obywateli z tak niezwykłego środowiska chodzi im przedewszystkiem. Wtedy to obywatele machają radośnie rękami mruczając: O Yes — i gwizdzą z wielkiego ukontentowania.

Mały barczysty pan — ponadto, jak i czterej pozostali — był delegatem, piastował w mieście rodzinnem urząd *szeryfa*, był więc naczelnikiem siły policyjnej, składającej się z jednej osoby, mianowicie z niego samego.

Ledwie pociąg stanął na stacji w Chicago, sypnęło się jak z ula. Ciżba, nerwowa bieganina — to ustawiczne, nigdy nie zatrzymujące się tętno życia

wielkiego miasta, gdzie w każdej minucie przyjeżdża i wyjeżdża pociąg, gdzie ponad głowami przebiegają w pędzie wagony miejskiej kolei, gdzie setki tysięcy ludzi, zda się bez wytchnienia pracować, krztać się i biegać.

Było właśnie południe. W centrum mrowie ludzkie zwiększyło się jeszcze ponad miarę. Przybysz nieprzyzwyczajony do rytmu ustawicznego spieszenia się nie idzie, lecz fala unosi go, mimo jego woli.

Piątka delegatów znalazłszy się na *State street* straciła nieco fantazję i, nie wiedząc jak, znalazła się w rojnej Cafeteri, gdzie dopiero przy stoliku mężowie odetchnęli i spojrzeli po sobie wymownie.

— Dokąd iść — jak tu wogóle iść?

— Trudno będzie — mruknął jeden.

— U nas przyjemniej.

— O tak... nasze miasto to zupełnie co innego.

Potem, zaczęli jeść, a nasyciwszy pierwszy głód, spojrzeli na szeryfa.

— I co teraz?

— I co teraz — powtórzono.

Zaległa cisza, ot głupia cisza, gdyż coś zrobić było trzeba.

Nagle do piątki zwrócił się jegomość, który dotychczas spokojnie siedział przy sąsiednim stole.

— Panowie z daleka?

— Tak — z Mashakee.

— Za interesem?

— Tak.

— Jestem dyrektorem banku — chętnie poradzę panom, dokąd macie się udać, gdyż znam wasze piękne miasto i wiem, że mieszkają tam solidni ludzie.

— O... o... o...

— Byłem w Mashakee — o — to miasto przyszłości, a kupno gruntów pod budowę to złoty interes.

— O... o... o... jęknęli delegaci, z których każdy miał grunta na sprzedaż.

I od słowa do słowa — dyrektor dowiedział się, o co chodzi, a wtedy po chwili namysłu powiedział:

— Sądzę, że kupowanie fontanny nie jest wskazane — bo w tak uroczym zakątku jak wasze miasto, mieście o tak olbrzymiej przyszłości, nie fontanna winna zdobić plac, będącym centrum życia, takich jak wy *gentlemanów*, lecz wielki monumentalny pomnik sławnego jakiegoś Amerykanina, któryby dzieciom waszym przypominał jego zasługi wobec naszego kraju.

— O... o... o... mruknął szeryf, ale czy wystarczy nam na to pieniędzy?

— Ile macie?

— Tysiąc pięćset dolarów.

— Trochę szczupło — ale czegoż się nie robi dla obywateli z tak wyjątkowego miasta?

Okazało się, że nowy znajomy miał właśnie pomnik Lincolna, który musiał usunąć z parku, sprzedanego przed paroma dniami miastu.

Po obejrzeniu pięknego monumentu udano się do reagenta, zawarto umowę i cenę zapłacono.

Nazajutrz, mieszkając w zacisznym hotelu, delegaci podziwiali piękne wanny, żałując srodze, że to nie sobota, boby się z pewnością wykapali, 1) a spożywszy śniadanie, jęli się rozglądać, gdzie by tu pójść wieczorem, po tak pomyślnie załatwionym interesie. Przedewszystkiem jednak należało zająć się wyekspedjowaniem pomnika, toteż, aby zbyć kłopot z głowy, poszli do przedsiębiorcy transportowego, którego adres dostarczył usłużny portjer.

— Kupiliśmy pomnik Lincolna — oto akt kupna — prawil szeryf, zechce pan zdjąć go z postumentu i wyekspedjować do Mashakee.

— Dokąd?

— Do Meshakee — krzyknął oburzony szeryf, nie zna pan tego miasta?

Przedsiębiorca wziął skorowidz.

— W jakim stanie?

— Wyoming — odparli chórem delegaci, oburzeni do żywego taką ignorancją.

— Już wiem. Gdzie się znajduje pomnik?

— W parku Lincolna, oto akt kupna.

Przedsiębiorca spojrział na dokument — następnie na szeryfa — potem spokojnie i szybko (był to człowiek bardzo zajęty) wyrzucił całą delegację

1) W Ameryce ulubionym tematem do żartu są farmerzy i ludzie z dalekiej prowincji — których wymagania higieny są tak ograniczone, że kąpieli używają tylko... raz na tydzień.

za drzwi, i zaczął uprzejmie rozmawiać z drugim klientem.

— Do policji! — ryknął szeryf.

— Do policji! — zawtórowali delegaci.

Gdy jednak w policji ustalono, że sprzedano za tysiącpięćset dolarów wielkiej wartości pomnik historyczny, będący własnością miasta i zdobiący miejski park — jeden z największych w Ameryce — u reagenta nigdzie niezarejestrowanego — delegaci potracili głowy, gdyż pieniądze stracili już dnia poprzedniego.

I oto znów siedzą w wagonie, pijąc sodową wodę, znów gazety leżą na ich kolanach — jeno, że w tych gazetach piękne obrazki są ich fotografiami, jeno, że reporterzy umieścili tam trochę szpetnych uwag o mądrości przedstawiciela władzy policyjnej w Mashakee, — że jadą oto bez fontanny, a splukani jakby wyszli z pod fontanny, do najpiękniejszego miasta Stanów Zjednoczonych, które ma przed sobą kolosalną przyszłość.

Trudno uwierzyć, ilu „naciągaczy” kręci w dużych miastach amerykańskich. Spryt i pomysłowość tych ludzi mógłby niejednego wynieść wysoko, gdyby wcześniej lub później nie zainteresowały się nimi władze bezpieczeństwa.

Wydrwigroszów wyłapuje policja, oni — łatwowiernych.

I nie dziwota. Wszak popyt rodzi podaż — a gdzie zjeżdżają się imigranci ze wszystkich krajów świata, gdzie wielu, z cichej wioski bułgar-

skiej, nagle staje przed drapaczami chmur... trudno chyba o wdzięczniejsze pole do działania. Spryciarze pracują „poważnie”. Zawsze znajdzie się biuro rzekomego notariusza, który przybije na akcie niezbyt legalnym złote pieczęcie. Życie wre, interesów moc i to nie byle jakich!

Wszak jeden chłopiek z Meksyku zakupił od takiego „rycerza przemysłu” całe jezioro Michigan, będąc przedtem w hipotece, gdyż oszuści oprowadzali swe ofiary po najrozmaitszych biurach. Ktoś znów zakupił *Wrigley building*, najwyższy gmach w Chicago, za osiemset dolarów, a był to niestety wieśniak z pod Kołomyi.

Nie można wziąć gazety do rąk, aby się nie dowiedzieć, że komuś sprzedano cudzą własność, lub naciągnięto w inny sposób.

Swego czasu miały wielkie powodzenie maszynki do robienia pieniędzy, dziś sprzedają pomniki, domy i co się da. Z notatek policyjnych wynika, że sławne muzeum *Field'a* było w ten sposób sprzedane dwanaście razy, bo zawsze znajdzie się ktoś, co sprzeda tanio chociażby ratusz, lub operę miejską.

Wielkie wzięcie mają również *mistrzowie czarnego kunsztu*, leczący nieszczęśliwą miłość.

W brudnej włoskiej dzielnicy Nowego Yorku, pewna córka wybranego narodu dorabiała się spokojnie grosza, urządzając kąpiele magiczne na... włosie Lucypera (autentyczne!), które są władne wyleczać najbardziej zakorzenioną miłość.

O, gdyby jakiś statystyk liczył nieszczęśliwych, którzy za pięć dolarów od sztuki kapali się w tej czarodziejskiej wannie! Gdyby mógł czytać w ich na strzępy poszarpanych sercach!

Ileż bólu, ileż zmarnowanych strzał Kupidynowych, ileż cichej, posępnej tragiczności znalazłby w tej wannie — która oplukiwała uczucia nieokielznane, a polokowane jaknajfatalniej!

Był tam raz młodzian — o cichych, łzawych, melancholijnych oczach, z których rozpacz tryskała, jak tryskają krople z wodospadu Niagary na stojące obok ogłoszenie pasty do butów. Dawno nie widziany gość — blady uśmiech zabłąkał się na jego wyczerpanem obliczu, wargi rozchyliły się, jakby cierpieniem skrzywione, i ukazały szczyptę żutej z pasją gумы.

Młodzian wyglądał na znękanego. Znać zarabiał nie więcej, jak piętnaście dolarów na tydzień, a jego ukochana — wiem to z pewnością — sprzedając spinki po pięć centów u *Woolworth'a*, zarabiała o trzy dolary więcej. Trudno się więc dziwić dziewczynie, że nie chciała popełnić mezaljansu, taksamo trudno dziwić się młodzianowi, który w tak młodym wieku chodził ze strzaskanem sercem (o, serce nie sługa), że szukał ukojenia za wszelką cenę. Wprawdzie to „ukojenie” kosztowało jedną trzecią jego tygodniowego zarobku — lecz młodzian sądził słusznie, że lepiej jest choćby tydzień cały nie jadać obiadów, niż męczyć się okropnie całymi dniami, widzieć obraz ukochanej na każdym kroku,

chodzić do sklepu, w którym stała za ladą i kupować codziennie jedną spinkę za pięć centów, a w nocy budzić się i marzyć i myśleć, że nie warto już nawet myśleć, i patrzeć, jak w szufladzie roi się od spiniek, których wystarczyłoby dla pułku straży pogranicznej.

O zaiste lepiej wypuskać się w magicznej kąpieli i wyjść lekki, jako to Boże ptaszę, powywrzucać na śmietnik te spiniki — pamiątki i zacząć żyć innem życiem.

Młodzieniec siedział tedy w wannie, a czarownośa właścicielka zakładu czyniła nad nim tajemne zaklęcia, gdy wtem... policja, jako że bywa niedyskretna, wdała się w sprawę.

I trzeba przyznać, że tym razem magiczna kąpiel pomogła. Młodzian nago, mimo zimy wypadł na ulicę, gdzie go dopiero dopędził stróż ładu społecznego, wręczając mu ubranie (autentyczne).

Pomogła mu ta magiczna kąpiel, bowiem całą tragiczną miłość wykichał z kretesem w szpitalu.

W jednym z poprzednich rozdziałów napisałem: z małymi wyjątkami, ludzie Nowego Świata zdobywają fortunę drogą uczciwą.

Ale to wyjątki.

Gdyby chcieć wyliczyć w alfabetycznym porządku sposoby, jakich się imają wydrwigrosze, którzy, jak i inni mieszkańcy pracują iście po

„amerykańsku”, powstałaby spora encyklopedia złodziejska.

A m e r y k a n k a

Jakoś tak się już utarło przekonanie — i, zdaje się, niema na to rady, że, gdy pomyślimy o Amerykance, fantazja podsuwa zaraz stojącego obok niej *papę*, właściciela licznych fabryk i wielkich przedsiębiorstw. Ona jest z reguły jedynaczką, ojciec milionerem, a posag czeka tylko na jakiegoś zblazowanego Europejczyka.

Tak się już utarło i tak jest. Tak samo jak paradoksalnie brzmi — „ubogi krewny z Ameryki” — tak samo Amerykanka musi mieć takiego „papę”, który po najdłuższem życiu zapisuje córeczce fantastyczne sumy, a już kwestją przypadku jest, kto im pokaże drogę do Monte Carlo.

Jednak naprzekór temu, stańmy się świadkami na jedną dobę, trybu życia przeciętnej Amerykanki, których naliczyć można miliony.

Jest wieczór — mógłby być ranek, lecz nam, obserwatorom, podoba się żeby w tej chwili był wieczór właśnie — i wieczór jest; bez tej szczypty władzy, wolna wola człowieka byłaby już zupełną fikcją.

Muzyka gra w dancingu... możnaby wprowadzić dyskusować nad tem, czy orkiestra gra, czy też...

bęben warczy, niby zły pies na obroży, trąby ochryple skrzeczą, jakiś skrzypek wydobywa ze swego instrumentu tony, do miauczenia kota podobne, w takt obłąkany, hałaśliwie urywany. Grajkowie pokrzykują, dyrygent podskakuje w śmiesznych podrygach, przegina się, śmieje nienaturalnie.

Reflektory rzucają na roztańczone pary różnokolorowe światła i cienie, atmosfera duszna—zmysłowa.

Przy stolikach uwijają się Chińczycy, podając zieloną herbatę i sławny *chop suey*.

Betty — bo tak ma na imię nasza bohaterka — tańczy. Wykonuje sztuczne ruchy, mające naśladować dziką pierwotność w płasach czerwono-skórych. Wije się, oczy zamglone, senne, błędzą leniwie — bez celu. Pary przesuwają się jedne po drugich, milczące, pogrążone w misterjum tańca w takt obłąkanej muzyki.

Światła rzucają coraz to nowe blaski na zapamiętałych w tańcu.

Betty tańczy.

Przyszła z młodym człowiekiem, którego poznała parę dni temu — on zapłacił za wstęp i za lody, zmieszane z wodą sodową — *Ice cream soda* — i teraz tańczą wśród dziesiątków podobnych im par, mało mówiąc do siebie. Twarze rozpalone gorączkowo, cień zmęczenia osiadł w oczach, które nienaturalnie błyszczą. Nikt nikogo nie zna i nikt na nikogo nie patrzy. Jeno systematycznie obraca się ze swą danserką, wkoło — wkoło — wkoło...

— Już późno — mówi młodzian.

- Dopiero druga — szepce Betty.
- Tak, ale jutro muszę wcześniej wstać.
- Jak zwykle.
- O nie, w niedzielę śpię dłużej.
- Jesteś chyba przyzwyczajony — skoro przyszliśmy tutaj, tańczmy.

I Betty tańczy.

Przed oczyma wiruje jej cała sala; dyrygent orkiestry, chcąc przewyciężyć senność, niewiadomo, swoją czy tancerzy — śpiewa modne piosenki ochrypłym tenorem — bęben warczy coraz donośniej, zawstydzone skrzypce w tej powodzi tonów zdecydowanych, miauczą coraz to ciszej — refleksy co chwila zmieniają kolor sali, na której leniwie, coraz wolniej, ludzie tańczą—tańczą—tańczą..

- Zmęczona jestem.
- Dobrze Betty, pojedziemy, odwiozę cię.
- Czem?
- Kolega, który tam tańczy, pożyczy mi maszynę — później mu ją odwiozę.

- Przejedziemy się trochę.
- Dobrze — idę po klucz od motoru.

Betty siadła przy stoliku, z torebki wyciąga puder i szminkę, różuje silnie policzki, czerwieni wargi, wreszcie pudruje całą buzię.

- Chodźmy Betty.
- Już idę — jaką maszyną jedziemy?
- Ford.

Wydeła pogardliwie naszminkowane usteczka.

— Ford to nie automobil, wczoraj Fillips od-
wiózł mnie Studebakerem.

— Więc żałuj, że ja nie jestem Fillipsem —
mruczy dotknięty młody człowiek.

Przystary Fordek zatrząsł się, z głębokiej zbu-
dzony zadumy, zgrzytnął i ruszył z miejsca.

— Nie jedź tak szybko, bo zapłacisz karę

— Nie zapłacę — zawsze tak jeżdżę. Betty...

— Słucham.

— Ty mi się podobasz.

— Czy mówisz to poważnie?

— Poważnie?... namysle się parę dni.

— To się namysław.

Jechali przez park, opodał szumiały fale jeziora,
księżyc rzucał srebrno-złote blaski na wodę i drzewa.

Milczenie przerwała Betty.

— Wczoraj sędzia Jules zasądził od jednego
młodzieńca pięćset dolarów dla mojej koleżanki.

— Za co?

— Powiedział w kinie, że ją kocha, ale nie
chciał się żenić. Ona zaskarżyła go.

Młodzieniec zaniepokoił się widocznie.

— Ale ja ci nic takiego nie powiedziałem?

Betty roześmiała się triumfująco, — zapytała
chytrze:

— Ile ty zarabiasz tygodniowo?

— Dlaczego pytasz o to?

— A ty dlaczego nie chcesz mi odpowiedzieć?

— Jeżeli ci na tem zależy — mam dwadzieścia
jeden dolarów.

— Szkoda, że masz tak mało.

— Dlaczego?

— Bo nie będziemy mogli chodzić często na dancing.

— Prawda — mruknął i pomyślał, że jednak nie dzieje się tak świetnie w Stanach Zjednoczonych.

Ford jęknął, stęknął i stanął.

— To twój dom Betty?

— Tak. Dziękuję ci.

— Betty...

— Słucham.

— Zatelefonuję jutro po siódmej.

— Zatelefonuj.

— Może byś chciała pójść do kina?

— Jutro?... wolę dancing.

W umyśle chłopca dwie cyfry stanęły w całej swej grozie. Kino po pięćdziesiąt centów — dolar, dancing przynajmniej pięć.

— Wolalbym kino, dziś byliśmy na dancingu. Zrozumiała.

— Zadzwoń, zobaczymy.

— Dobranoc Betty.

— Dobranoc.

Fordek, mruczając zgryźliwie, odjechał.

Betty śpi.

Na dworze mglisty ranek opanował mroki nocy; zegarek zadzwonił przejmująco.

Betty, jakby chciała rozwiać nie mile przywiedzenie, odgarnia rączką złe widziadło na tarczy zegara, lecz przekonawszy się, że już siódma, wyskoczyła szybko z ciepłego łóżeczka, narzuciła na ramiona miękki szlafroczek i pobiegła do wanny.

W godzinę potem zdążyła szybkim krokiem w kierunku stacji górnej kolei.

Na wysokości półtora piętra nad rojną ulicą jest stacja. Tłumy ludzi czekają na pociąg, a choć bezustannie zajeżdżają wielkie wagony, mrowie ludzkie nie przerzedza się.

Betty wbiegła zadyszana na peron, ruchem zwinnej kotki docisnęła się poprzez tłumy do krawędzi platformy i, gdy tylko pociąg zajechał, wskoczyła szybko w pierwsze, rozwierające się drzwi natłoczonego gęsto wagonu, stanęła wsparta o ramę okna, aby jechać przeszło godzinę, jak zresztą każdego ranka.

Wagon przedstawiał się jak co dnia. Widać nogi i wielkie płachty gazet, za którymi siedzą lub stoją ludzie, czytając najciekawsze wiadomości i najważniejsze zdarzenia chwili.

Pociąg pędzi, przelatując nad ulicami i zaułkami dzielnic mieszkalnych, by dobiec w końcu do części handlowej miasta — rojnej, zgiełkliwej.

Betty wpada do biura. Jest za minutę dziewiąta. Gdyby się spóźniła o chwil parę, straciłaby zajęcie i znów rozpoczęłaby się bieganina za nową pracą — znów czytanie ogłoszeń. Odetchnęła. Ziewnęła parę razy, usiadła przy maszynie, przerzuciła znudzona

leżące na stoliku papiery do przepisywania i zaczęła pracować.

Jak co dnia, od dziewiątej do piątej stała się maszyną, pracującą bez wytchnienia, bez chwili odpoczynku, aby wydolać ciężkiej, jednostajnej pracy biurowej.

Godzina pierwsza.

Pół godziny na spożycie śniadania. Wybiega na ulicę, wchodzi do pierwszego z brzegu *Lunch roomu*, zjada szybko swój skromny posiłek, pudruje nosek i znów wraca do maszyny i znów pisze bez słowa, cicho — monotonnie płyną godziny.

Wszyscy pogrążeni w swem zmechanizowanym zajęciu, pracują — pracują — pracują.

Paluszki Betty bezmyślnie a wprawnie biegają po klawiaturze, myśli błądzą około wczorajszego wieczoru, oczy bolą od ciągłego niewyspania.

Nagle wszyscy ożywiają się, znać poruszenie — za dziesięć piąta, jeszcze dziesięć minut — jeszcze dziewięć — jeszcze pięć minut. Betty przepisuje ostatni list szybko, aby go kończyć przed piątą, jeszcze ostatnich parę wyrazów i zbawcza piąta wybija na zegarze.

Praca skończona.

Na ulicy zamęt i gwar. Tłumy ludzi po skończonym zajęciu dążą do stacyj górnych kolei, schodzą w podziemia, siadają w autobusy — auta.

Betty przedziera się przez szare rojowisko, wbiega do wielkiego magazynu i, jak co dnia,

zwiedza „departamenty” futer, biżuterji, wytwornej bielizny, sukien — jak co dnia nie kupuje nic z tych kuszących wspaniałości, lecz patrzy, czy wybiegają z orbit — wzrok ślizga się po kosztownych tkaninach — dla niej niedostępnych.

I obiecuje sobie, że za następną płacę kupi i to i owo i tamto. Po chwili zastanawia się, że gdyby chciała załatwić wszystkie sprawunki, nie wystarczy jej pieniędzy. Więc posmutniała. Oszołomiona nieco wybiega ze sklepu, przeciska się ku stacji, za godzinę ma telefonować John.

Kino... miła perspektywa — myśli Betty.

— Jak się masz?

Betty obejrzała się. Za nią stał Fillips.

— O, to ty?

— Jedziesz do domu, Betty?

— Tak.

— Odwiozę cię.

— A gdzie stoi twoja maszyna?

— Niedaleko.

— Więc chodźmy.

Poszli.

— Betty, coś wczoraj robiła?

— Byłam na dancingu.

— A dziśbyś nie poszła?

— Ależ dlaczego nie — szybko odpowiada.

Szli w milczeniu, on myślał o niej — ona o tańcu.

— Oto mój Studebaker — siadajmy.

— Siadajmy — powtórzyła machinalnie.

Zgrabny samochód poniósł szybko. Nie upłynęła godzina, gdy Betty, wystrojona w balową suknię, miała już schodzić do czekającego w automobilu Fillipsa.

Telefon.

— To ty?

— Tak Betty, to ja — John.

— Masz mi co do powiedzenia?

— Zapomniałaś? — mieliśmy iść do kina?

— Ach, prawda... ale wiesz, rozmyśliłam się, przytem ten Ford tak mną wytrząsł.

— Co będziesz robiła wieczorem?

— Jadę do dancingu... ale nie Fordem.

Powiesiła słuchawkę i pojechała, aby jutro ranniem znów tłoczyć się do biura, potem zjeść *lunch*, potem pogonić po sklepach, a wieczorem iść do dancingu lub w najgorszym razie do kina.

A biedny John, zrozpaczony zawodem, zjadł porcję lodów w najbliższym składzie aptecznym i przypomniawszy sobie małą Mary, zatelefonował do niej.

— O, to ty John? Co się z tobą działo?

— Nic szczególnego. Mary, chcesz iść ze mną do kina?

— Dobrze John. Przyjedziesz po mnie?

— Zaraz przyjadę.

— Masz maszynę?

— W naprawie — skłamał chłopak — pojedziemy autobusem.

— Więc czekam.

John wyszedł na ulicę, a tymczasem Mary przebiegała się.

— Piękny jest nasz kraj — myślał John — wsiadając do tramwaju, każdy może sobie swoje przyjemności urządzić tak, jak mu na to pozwalają środki materialne.

Autem przez kraj tysiąca jezior

W Ameryce, gdzie praca jest stokroć intensywniejsza i bardziej wyczerpująca niż w Europie, ludzie daleko mniej odpoczywają; nie przyjął się zwyczaj gremjalnych wyjazdów na „letnie wywczas-y”, skoro tylko dzieci przyniosą wykazy stopni i promocje do klas następnych „z poprawką z łaciny” (ten łotr profesor „od łaciny” zawsze mojego Freda bojkotował — mówi wtedy nadobna mama do swej niemniej nadobnej sąsiadki). Zaraz też zaczyna się wielkie pakowanie, pranie, obsypywanie futer naftaliną, i wyjazd na letnie mieszkanie.

I...

Albo rodzina ulokuje się tuż koło miasta, a wówczas nieszczęśliwy *pater familias*, objuczony jak wielbłąd karawanowy „dojeżdża” co sobotę podmiejskim pociągiem...

Albo...

Rodzina wyjeżdża nieco dalej i siedzi w górach lub nad morzem, aż do chwili, gdy Fred musi wracać do miasta, by zdać poprawkę z łaciny.

Albo...

Czasy są ciężkie, ale trzeba na przyszłość, która jest w górze zapisana, odpocząć, i wtedy cała rodzina emigruje na parę tygodni na Lido czy do Ostendy, co pozwala mężowi nosić tytuł słomianego wdowca i co przyprawia grono znajomych o rozpacz, gdyż z góry wiedzą, że na jesieni będą musieli wysłuchać opowieści, długich a szczegółowych o tem, jak to jest na Lido (nie tak jak u nas, w Polsce, o nie!) i jakie pani Irusia miała tam niebywałe powodzenie, tak wielkie, że napewno tańczyłaby z księciem Walji, gdyby akurat w tym samym czasie książę nie był bawił w Afryce Centralnej, a właśnie na Lido.

Amerykanin używa również wakacji — są one jeno rzadsze i krótsze. Nie znaczy to, by nie wyjeżdżano z miasta. Ludzie zamożni wyjeżdżają do Europy, lub Kalifornji, zaś ludzie średnio zamożni po większej części przepędzają czas, przeznaczony na odpoczynek, w automobilu, robiąc wycieczki po kraju.

Na drogach automobilowych spotyka się latem całe sznury samochodów, a po barwach numerów można rozpoznać, z jakiego krańca Ameryki, z jakiego stanu przybywają.

Podczas pobytu w Ameryce, dzięki projektowi, jaki powstał w gronie moich znajomych, udało się w objazd autem po krainie tysiąca jezior w stanie Wisconsin.

W balsamiczną wonią przesiąkniętem powietrzu, wśród malowniczych krajobrazów pędziły samochody po równych i szklistych szosach. Po obu stronach drogi gęste lasy, to znów pola uprawne, pośród których, jak lśniące djamenty, świecą modre jeziora i jeziorka, okolone bujną zielenią lub skałkami — powierzchnia wód o lekko zmarszczonej toni, w której przeglądają się przybrzeżne rośliny.

Wycieczka nasza, a raczej ośmiodniowa włóczęga, pozwoliła zapoznać się z życiem farmy amerykańskiej i z jej pejzażem.

Farmy w Wisconsinie, stanu słynnego z urodzajnej gleby i wzorowego gospodarstwa, są rozrzucone między starymi lasami, w północnej zaś części kraju nikną, ustępując miejsca rezerwacjom indyjskim i gospodarstwom rybnym.

Życie i praca w gospodarstwach wiejskich tem się różni od uprawy na polskiej roli, że farmer posługuje się maszynami rolniczymi, nie jeździ wozem lecz Fordem, który służy mu do transportowania produktów i (przy zmianie karoserji) do przejażdżek w święta.

Wsie czysto utrzymane, a farmer czytuje codziennie gazety, nierzadko ma u siebie radio, dzięki któremu bierze udział w kulturalnem życiu świata.

Położenie kraju górzyste, oryginalne, zabudowania natomiast, acz wygodne, przeważnie szablonowe, a co gorsza, niemal na całej sieci dróg są rozmieszczone ogłoszenia i reklamy, które wśród czaru przyrody rażą, jak coś natrętnego i brutalnego

Na ten temat czytuje się w pismach wesołe facecje. Popularne hasło „*See our country first*” (obejrzyj najpierw nasze strony), jako reakcja przeciw masowym wyjazdom ludzi zamożnych do Europy, zostało podpisane w jednym z pism humorystycznych, pod obrazkiem, przedstawiającym auto z turystami, zdążające po szosie. Po obu stronach drogi widniał gęsty mur rusztowań z ogłoszeniami tak, że poza nimi nic, literalnie nic dojrzeć nie było można.

Obraz, na którego zasadzie można odtworzyć sobie pierwotne oblicze Ameryki, rozpościera się na północy Wisconsinu. Szczególnie w nietrzebiomych gąszczach, gdzie tylko szlaki Indian wskazują na życie ludzkie.

Charakterystyczne są również małe miasteczka, wyludniające się zupełnie zimą, a zamieszkałe podczas miesięcy letnich przez drwali, zatrudnionych przy wycinaniu drzewostanu. Osady takie są urządzone nader prymitywnie; nawet wzorowa w Stanach Zjednoczonych poczta dochodzi do tych miejscowości ledwie co parę dni.

Na naszej drodze leżało takie miasteczko, zwało się, o ile pamiętam, Marinesco. Kilkanaście drewnianych domków, murowany ratusz, dwa hotele... wokół lasy. Mimo swej miniaturowości Marinesco posiada asfaltowe ulice, oświetlenie elektryczne i zajazdy wyposażone w schludne pokoje z łazienką, w której jest gorąca woda. Właściciel jednego z tych hoteli Polak. Wśród drwali, pracujących w puszczech, spotyka się wielu Polaków.

W jednym z napotkanych po drodze miast bawił cyrk, do którego zaszliśmy wieczorem. A nie był to cyrk prowincjonalny lecz jeden z najświetniejszych braci Ringley, który wędruje po całym kraju, jeździ własnymi pociągami, wozi ze sobą około tysiąca ludzi i setki zwierząt ¹⁾, tak, że w cyrku naliczyłem jednocześnie czterdzieści demonstrowanych słoń.

Cyrk amerykański posiada od sześciu do ośmiu aren, na których równocześnie odbywają się produkcje, postępujące za sobą w zawrotnej szybkości — bo... *times is money* — publiczność podziwia jednocześnie tresurę fok, rzucających sobie zapalające głównie, niedźwiedzie grające w piłkę nożną, ćwiczenia gimnastyczne panter i t. d. Wokół aren biegnie szeroka droga dla popisów ekwilibrystycznych.

Cyrk Ringley'ów ma prawo popasać w małych miastach najwyżej trzy dni, gdyż inaczej zabrakłoby żywności dla mieszkańców. W zimie wraca w okolice Buffalo, czekając na ciepłe dni — na porę objazdów.

Wśród uczestników naszej wycieczki był pewien starszy pan, którego syna zaangażowano, jako

1) Jak się dowiedziałem w cyrku Ringley'a produkowały się konie specjalnie sprowadzane z Polski. Jest to tem dziwniejsze, gdy przypomnimy sobie, że specjalne misje zakupywały konie amerykańskie w celu sprowadzenia do Polski.

dyrektora miejscowości kuracyjnej, położonej na wyspie w najbardziej północnej części Wisconsinu. Tam mieliśmy odpocząć przed powrotną drogą do Chicago. Decyzja zapadła w Pelican Lake, malowniczej miejscowości o jeziorze położonym wśród gęstwin lasu.

Pelican Lake wbił mi się w pamięć dokładnie, gdyż o mało nie utopiłem się, pływając po jeziorze.

Auta niosły nas coraz bardziej w głąb kraju, skąd zboczyliśmy z asfaltowych dróg turystycznych na szlaki lokalne, by dotrzeć do celu wędrówki, do Ox Bow Lake.

Trochę zdziwiłem się, gdy w miasteczku, leżącym o parę mil (angielskich) od jeziora, nad którym miała leżeć owa wspaniała stacja klimatyczna, nikt nic o niej powiedzieć nie umiał, a nawet trudno się było dopytać o mało znane jezioro.

Co to była za droga!

Nad przepaściami w jarach, po dołach i wzgórzach, wyboista i pełna kamieni.

— Żle nas poinformowano — musi być jakaś inna droga — woła rożgoryczony ojciec dyrektora zakładu.

Ale tymczasem zapada noc.

Ciemno, niewiadomo w którą stronę się zwrócić, księżyc nie świecił, albowiem cała wyprawa

nie była powieścią romantyczną, jeno latarnie naszych maszyn smugami światła zalewały drogę.

W pewnej chwili stanęliśmy bezradni, grupując się społem przy kole nad pękniętą oponą i bledząc, jako chłopska rodzina nad zdychającą krową.

W rezultacie po różnych wysiłkach — jako to biegnięcie przed maszyną i wypatrywanie dołów, usuwanie co bezczelniejszych kamieni, dobrnęliśmy do brzegu, lecz... nie do celu.

Spotkało nas rozczarowanie — nasz upragniony zakątek mieścił się o półtorej mili, a drogę należało przebyć łodziami, bowiem trudno na wyspę jechać samochodem.

Ojciec dyrektora markotnie coś patrzył na ciemne jezioro i kierunek, gdzie miała się znajdować wyspa. Mimo to pocieszał nas, a przede wszystkim siebie:

— A nie mówiłem — zmyliliście drogę — musicie gdzieś być jakiś most i dojazd przyzwoity.

Mostu nie mogliśmy się dopatrzeć, zato znalazł się jakiś stary, głuchawy rybak, z którym nie sposób było się porozumieć i który za nic nie chciał jechać na wyspę. Była też jakaś marna łódeczka, nieco przeciekająca, niosła też niepewnie. W siedem osób jechać nie można, po długotrwałych deliberacjach, część towarzystwa popłynęła odważnie, a reszta zapewniała się solennie, że tamtym z pewnością nic nie grozi. Jakoż istotnie napadu Indian nie było. Mnie nie chcieli zabrać za

nic, wypominając, że się „chciałem” topić w Pelican Lake.

Koniec końców dostaliśmy się na ową wyspę, leżącą nad Ox Bow Lake, ale... ojciec dyrektora zwiesił nos na kwintę. Synalek był angażowany do prowadzenia wielkiej miejscowości kuracyjnej, tymczasem była to urocza dzika wysepka, zalesiona cudną zielenią starych drzew, z szemrzącymi strumykami, co po kamieniach perliły się srebrzyście.

Była to urocza w swej dziewiczej pierwotności wyspa, gdzie słońce złociło rozlane wokół wody, gdzie krom ptasiego śpiewu żaden głos nie mógł ciszy, gdzie tylko szumiały prastare drzewa, zapomniane od dawien pieści indjańskie.

Była to wyspa, do której ongiś na odpoczynek może przepływał kajakiem jakiś wielki wódz „Lwie serce”, lub powaśnione szczepy, by wypalić fajkę pokoju.

Słowem pustka, na której wybudowano parę okropnych bud i miano wznosić stację klimatyczną, której prospekty widziałem, prospekty kuszące i piękne. I tylko bagatela stanęła na przeszkodzie — właściciel zbankrutował. Dyrektor został na koszu z paroma kuracjuszami, robiącymi mu codziennie gorzkie wymówki i z damską orkiestrą, która niezmiennie była rada z naszego przyjazdu, gdyż raz przynajmniej produkowała się przy wypełnionej sali, na której siedziało siedem osób.

A swoją drogą takie odludne wysepki posiadają niewysłowiony urok i czar

Czerwonoskóry grajek

Zwał się Joris.

Jako mały chłopiec uciekł z rezerwacji, która w kraju tysiąca jezior miała swą siedzibę.

Smutne życie pamiętał z tych czasów, gdy w puszczy, wpatrzony całymi dniami w zielen traw — wsłuchany w poszumy liści i świergot ptaków, rozmyślał nad czarem ptasiego śpiewu, gdy w pogodne noce majowe wymykał się z dusznej izby, aby biec nad parów — z którego strumień wpadał do jeziora — słuchać słowiczych trelów — ich namiętnej pieśni miłosnej.

Dnie płynęły cicho — jednostajnie — jak zresztą w każdej rezerwacji, o wyznaczonych granicach, w których mieszkańcom wolno żyć, aby doszczętnie nie wyginęła rasa czerwonoskórych.

Z biegiem lat stali się dumni Indianie lwami w klatkach, lub błaznami na pokaz, wystającymi długimi godzinami przy szosie automobilowej w oczekiwaniu na turystów z Kodakiem — od których biorą za pozowanie po dwadzieścia pięć centów.

W takiej to rezerwacji, stanu Wisconsin ujrzał świat Joris.

Dzieciństwo?

Okres pierwszych uniesień, zawodów, nadziei?
No tak...

Uniesienia? — gdy zdołał unieść coś z chaty sąsiada.

Nadzieje? — że kiedyś będzie jadł do syta i nie będzie bity.

Zawody? — tych mu nie brakło.

Poza tem szaro — pusto — nudno.

A jednak pamięta... Miał jeden dzień, w którym był szczęśliwy. Było to latem — w dzień lipcowy. Błąkał się po puszczy i tam — około parowu, na małej, zielonej polance, z której rozpościera się widok na ciche, smutne, zatopione w lasach jezioro, ujrzał białych, obcych ludzi.

Pamięta młodego, jasnowłosego chłopca, który grał...

Joris, w skrzypce wpatrzony, w słuch się zamienił cały. Na życie całe, długie, monotonne życie, utkwiała mu w oczach ta polana i często później słyszał, jak płyną tony, rzeźbiąc mu w duszy świat nowy — inny.

Biały człowiek gra.

Głos skrzypiec zawodzi do wtóru poszumom lasu — lka. A on Joris, z podziwem patrzy na białego chłopca, który z drewnianej skrzyneczki wydobywa tony piękniejsze, niżli owe trele słowicze.

I od tej chwili Joris chciał zostać takim czarodziejem, który z martwego drzewa potrafi wydobywać czarowne dźwięki.

W parę dni później, obity przez stale pijanego rodzica, nakradłszy jadła, ile się dało, poszedł w świat.

Przez nędzę, chłód, i głód, i poniewierkę szedł w życie, zebrał i kradł lub pracował.

A teraz gra.

Patrzy oto w tej chwili na swe skrzypki, dla których przecierpiał tyle i przez twarz uśmiech przelata.

Zamiast rzewnych pień, wygrywa co noc w kabarecie dzikie melodje, lecz zato, gdy jest sam, w swym pokoju, łkają jego skrzypce, cicho — melodyjnie.

Reflektor rzucił na salę czerwone światło, zamigotały klejnoty na obnażonych szyjach kobiet, twarze, na których noc szalu wyryła swe piętno, pobladłe i zmęczone, zaróżowiły się, oblekły żyłkami krwi — ożyły.

Muzyka od piana przeszła do jazgotu gwarliwego — tańczono.

Tam na podwyższeniu — po prawej stronie gra Joris. Jego miedziana skóra — powleczone czerwienią, mieni się w blasku światła i pała.

Nie widzi ani wydekoltowanych dam, ani tej pysznej blondyny, co patrzy nań. Nie widzi nic.

Gra.

W muzyce swej zapamiętały, wpatrzony w nie-
dostrzegalne dla innych cienie, — gra.

Tony skrzypiec głośny jazgotliwy jazz-band —
lecz on, gra dla siebie i dla tych cieni, co u jego
stóp kładły się, jakby szukając opieki od zgiełku
i łun świetlnych smug.

Cienie zdały się mówić do niego, a on snuł
swą pieśń, wsłuchany w poszept, w niezrozumiałą
mowę cieni.

— Tu na tej ziemi stał przed laty namiot
twoich przodków — panów tej krainy.

Cienie dawnych chwał pęzły do ostatniego
z plemienia, skarżąc się na gwar — na intruzów —
na wielkie domy, przygniatające przeszłość.

A Joris grał.

Poprzez tony skrzypiec słyszał głos daleki —
zapomniany^w głos puszczy i jezior — głos dawnego
Wisconsinu.

Grajek ledwo dotyka strun, zdało się, że to
wiatr kołysze melodyjnie liśćmi drzew — że tam
z jeziora Michigan fale przesyłają, szepcąc, swe
pienia modlitewne.

Potem cichość i znów, znów szemrzą liście
w konarach starych drzew, ptaki wszczynają swe
trele.

— Widzisz — szepcą cienie... widzisz.. oto
wojownicy, panowie puszczy — słyszysz?

Głos skrzypiec potężnieje.

— Widzisz... idą... a na czele krocysz ty.
W pióropuszu barwnym, w miedzianej skórze twej
słońce gra i mieni się i złoci promiennymi smugi.

— Widzisz?...

— Tam z za drzew... na tej polanie, gdzie
rozjaśnione słońcem kielichy kwiatów odurzają swą
wonią, wychodzi ona.

— Czujesz jej obecność?...

Skrzypek gra, lka jego pieśń i zawodzi, jakby
miłosne oddawała skargi, jakby całunków moc
w siebie wzięła i szeptała słowa czułych pieszczot

— Słyszysz?... oto w blasku idzie ku tobie
wytęskniona w długich nocach, oto usta jej do po-
całunku gotowe...

— Jest przy tobie, blisko ciebie, korna —
lękliwa...

— Widzisz jej krasę?

Bęben zawył przeciągle.

Brawa. Reflektor zgasł.

Joris ostrożnie położył skrzypce i spojrzał na
salę zdziwiony, na ludzi bladych, zmęczonych —
z oczyma migotliwie podnieconymi.

Jakie to wszystko dalekie od tego, co uko-
chał — od tej jego wyidealizowanej, dawnej oj-
czyzny...

Blondyna z łoży, która przez cały czas pa-
trzyła na niego, wstała i podeszła do podjum.

— Co grałeś teraz?

Joris wymienił tytuł.

— To bardzo ładne i pan ślicznie gra.

— Naprawdę — podchwycił zawstydzony.

— Ależ tak.

Joris patrzył na nią i milczał. Po chwili odezwała się.

— Jesteś Indjaninem?

Skinął głową.

— Znasz Stany Zjednoczone?

— Od Nowego Yorku do San Francisco.

— *And how do you like our country — the great America?* 1)

24/7-332

K O N I E C.

1) Dosłownie: I jak ci się podoba nasz kraj — wielka Ameryka?
(Autentyczne.)

SPIS RZECZY.

Greenhorn	7
Amerykanin	13
Nowy-York	17
Stany Zjednoczone	21
Praca, Busines i Reklama	25
Asekuracja	35
Federacja Pracy	40
Polityka	44
Bil Johnsona.	49
Bogaty wujaszek Sam	53
Ku-Klux-Klan	60
Czarni wśród białych	63
Tradycje	67
Radjo i Kino	70
Prohibicja.	73

Etykieta i stanowisko kobiety	77
Fontanna	81
Amerykanka	90
Autem przez kraj tysiąca jezior	99
Czerwonoskóry	107

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

POLECA NOWOŚCI Z R. 1925:

prof. A. OSSENDOWSKI.

„O R L I C A”

Powieść z życia górali wysokiego Atlasu.

Nieznany i tajemniczy kontynent odsłania się przed oczyma czytelnika na tle niezwykle interesującej akcji powieściowej.

Oprawne w płótno 2 zł. 20 gr.

Broszurowane . . 1 zł. 80 gr.

J. SOSNKOWSKI.

„AUTO, TY I JA” (MIŁOŚĆ MASZYN)

Powieść Sosnkowskiego odurza czytelnika swoją nieprawdopodobną świeżością i zupełnie swoistą poezją. Czuć w niej prężność młodego, lecz dojrzałego talentu, czujnego na każde drgnienie serca czy myśli człowieka w jego stosunku do ludzi i życia.

Oprawne w płótno 2 zł. 20 gr.

Broszurowane . . 1 zł. 80 gr.

ST. KRZYWOSZEWSKI.

„RUSALKA“

Opowiadania Krzywoszewskiego pociągają nie-
tylko swoim tematem ale i umiejętnością ich kon-
struowania.

Oprawne w płótno 2 zł. 20 gr.

Broszurowane . . 1 zł. 80 gr.

V. BLASCO IBANEZ.

„ZIEMIA ZDOBYWCÓW“

powieść w 2 tomach.

Mocne barwy życia i ludzi, stwarzają w tej
powieści niepospolity obraz ruchu, zmagania, upadku
i wznoszeń. Ibaneza interesują kontrasty pracy czło-
wieka Europy i Ameryki.

Oprawne w płótno 2 zł. 20 gr.

Broszurowane . . 1 zł. 80 gr.

A. BŁAŻEJOWSKI.

„CZERWONY BŁAZEN“

Polska powieść kryminalna, osnuta na tle życia
i stosunków warszawskich. Niezmiernie zajmująca

akcja toczy się w szeregu sensacyjnych powikłań za kulisami kabaretu, w salonach plutokracji warszawskiej, w sądach i więzieniach stołecznych. „Czerwonego Błazna” czyta się z zapartym oddechem do końca.

Oprawne w płótno 2 zł. 20 gr.

Broszurowane . . 1 zł. 80 gr.

P. GAUGUIN.

„NOA NOA”

Książka wielkiego malarza jakim był P. Gauguin, należy do najsubtelniejszej literatury świata.

Była swego czasu wielką rewelacją literacką, tak ze względu na swoją artystyczną prostotę i bezpośredniość w obrazowaniu, jak ze względu na głęboką uczuciowość i poezję egzotyzmu.

Oprawne w płótno 2 zł. 20 gr.

Broszurowane . . 1 zł. 80 gr.

G. DANIŁOWSKI.

„TĘTENT”

Miłosną sielanką żołnierza jest powieść Daniłowskiego. Brzmi w niej hejnał młodości, upitej

miłością i szczęściem. Po za tą jasną i bujną
plamą obrazu kryje się jak cień, nieodstępna towa-
rzyszka żołnierza w boju: śmierć.

Oprawne w płótno 2 zł. 20 gr.

Broszurowane . . 1 zł. 80 gr.

PAWEŁ BOURGET.

„SENS ŚMIERCI“

Potężna, groźna i wstrząsająca książka. Wielki
tragizm człowieka wobec zagadki śmierci maluje
Bourget z niesłychaną siłą wyrazu. Jego sejsmograf
psychologiczny notuje mu najsztudniejse drgnie-
nia duszy, jej wahania i dążenia.

Poprzez cierpienia głębokie wznosi człowieka
na najwyższe stopnie dostojenstwa duszy.

Finał powieści rozbrzmiewa najczystszy hym-
nem ofiary, która tłumaczy sens śmierci.

Oprawne w płótno 2 zł. 20 gr.

Broszurowane . . 1 zł. 80 gr.



MYDŁO ALKALICZNE

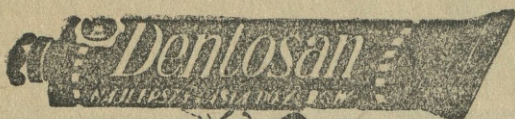
DO MYCIA TWARZY OSÓB Z CERA
TŁUSTĄ POŁYSKUJĄCĄ, SKŁONNA DO
WĄGRÓW I PRYSZCZY ORAZ PRZY
ŁUSZCZENIU SIĘ SKÓRY. W WYPAD-
KACH UPORCZYWSZYCH UŻYWAĆ
NALEŻY N°2

TOW. AKC.

"*Fr. Karpiński*"

W WARSZAWIE





Narz-Elife

BEZTŁUSZCZOWY KREM HAZELINOWY



10740/

1